

# POLSKA WALCZĄCA

## ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 2-go maja 1942r.

Rok IV. Nr. 18

### WSKAZANIA 3-go MAJA

"Vivat Sejm, vivat król, vivant wszystkie Stany!" brzmi polonez Trzeciego Maja, — oto nieśmiertelne słowa z mickiewiczowskiego koncertu Jankiela, które narzuciły jednolitą wizję Konstytucji Trzeciego Maja wyobraźni narodu polskiego. Utrwalił tę wizję wspaniały, skąpany w słońcu i radości, obraz matejkowski, nie wolny zresztą od pewnych historycznie krzywdzących szczegółów na rachunek, najwybitniejszego zresztą spośród późniejszych Targowiczów, oponenta Konstytucji — Suchorzewskiego. Ten zgodny ton poezji i barwy złożył się na wizję radosną i dumną, przechowywaną, a w miarę postępu czasu coraz bardziej kulturowaną w duszy polskiej.

Stało się to zaś słusznym! Na tle tylu bowiem fikcyjnych wiatów dotychczasowej historiografii polskiej, radosna wizja Trzeciego Maja jest nie tylko wizją piękną i podniosłą, ale wizją rzetelną i prawdziwą. Wówczas bowiem dnia 3 maja 1791 dokonano się w dziejach Polski coś bezspornie pięknego i wielkiego. Jakby wielki akt pożegnania byłej Rzeczypospolitej, z którego pięknem i prawdą poszliśmy w świat na turlackę legionową i powstańca, umocnieni na duchu i sami przed sobą uprawnieni do żądania nowej, lepszej przyszłości.

Zaden może z uczonych polskich nie postawił Konstytucji Trzeciego Maja tak wysoko w hierarchii wiekopomych polskich poczynań, jak właśnie prof. Oswald Balzer, gdy swą rozprawą o Konstytucji Trzeciego Maja zamknął około r. 1910 swą najcenniejszą epokę działalności. Był to bowiem okres prac nie tylko badacza o niesłychanej wprost wiedzy, ale jednego z najostrożniejszych krytyków polskiej przeszłości. Balzer zmienił potem ze względów politycznych, a bez wystarczających podstaw naukowych, całkowicie swój pogląd ogólny na dzieje Polski i począł zwalczać namiętnie wszystkie swoje własne poprzednie wyniki badań. W zamknięciu jednak swego poprzedniego wielkiego okresu, wyznaczył właśnie Balzer Konstytucji Trzeciego Maja rolę słupa dziejowego, czy pomnika zwrotnego oddzielającego dawną Polskę, w której według jego własnych słów "było tak źle, że gorzej być nie mogło," od Polski nowej, Polski z ducha postępu i wolności.

Wówczas to również właśnie Balzer potępił były naród szlachecki w słowach, których by dzisiaj żaden historyk polski nie odważył się powtórzyć bez uzasadnionego zarzutu obraży narodu, by tym przygotować polskie myślenie narodowe na fakt narodzin nowego Polaka. Nowy ten typ Polaka zrodził się bowiem wówczas z idei i poczynań kół "stronnictwa patriotycznego," skupionego w zasadzie przy królu Stanisławie Augustu, choć właściwie formy i byt czynu odrodzonymu Polakowi dał dopiero niezłomny generał Henryk Dąbrowski.

Konstytucja Trzeciego Maja i cała działalność "stronnictwa patriotycznego" była dziełem niepełnym i nie wprowadziła żadnych rewolucyjnych zmian w duchu przewrotów dokonywanych na Zachodzie. Nie mniej głównie przez prawo o miastach, a częściowo przez pierwszą próbę wdania się prawa w polskie sprawy chłopskie, rozpoczęła drogę narodu i ducha polskiego ku nowemu światu, ku nowym ideom.

Wybitniejsze oczywiście były te nowe wartości polityczne, które Konstytucja Trzeciego Maja przy-

niosła w kierunku zorganizowania normalnego nowoczesnego państwa, państwa, które z chaosu tradycyjnej reakcji poczęło się wydobywać ku nowoczesnym zdrowym stosunkom. Ta dalej idąca jednak część Konstytucji 3 Maja właściwie nie zdołała nigdy wejść na dobre w życie!

Wraca w ucho polskie przy słowie "Trzeci Maja" stale radosny polonez Trzeciego Maja, ale jak Mickiewicz nie mógł odtworzyć poetycko wspomnień o tym radosnym dniu bez łączenia ich z "sykiem węża" Targowicy, tak dzisiaj nie można, co więcej nie wolno nam wzywać się w ten uzasadniony pean historyczny Trzeciego Maja, bez powiedzenia sobie samemu słów prawdy o tej Targowicy. Prawda ta musi być równocześnie wypowiedziana, gdyż inaczej wspomnienia i pamięć o Konstytucji Trzeciego Maja nie będą mogły spełniać w Polsce tej pedagogicznej roli wobec potomnych, jaką spełniać powinny.

Nie kto inny, ale właśnie Sienkiewicz, dojrzały duchowo i historycznie, włożył w usta jed-

nej ze swych postaci powieściowych słowa związane z czasami Konstytucji Trzeciego Maja: "Po co mówić ciągle o dobrych, kiedy było tyle więcej złych." Cytuje z niedokładnej pamięci, ale w tych słowach jest to najważniejsze, co powiedziane być powinno, jeśli chcemy pisać dla pożytku narodowego, a nie dla popisu.

"Stronnictwo patriotyczne," t.j. twórcy Konstytucji Trzeciego Maja byli tylko słabą i poparciem króla stojącą grupą, walczącą o ratunek dla Polski nie tylko przeciwko obcym, ale przede wszystkim przeciwko swoim, opętany w większości hasłami frazesów o niebezpieczeństwie narodowym, świętości tradycji i obronie przez nikogo nie zagrożonej religii. Stronnictwo hetmańskie Szczęsnego Potockiego, Branickiego i Seweryna Rzewuskiego, zważy się oficjalnie "stronnictwem narodowym," miało w zasadzie olbrzymią większość ówczesnej opinii polskiej za sobą. Na 509 posłów i senatorów Sejmu Czteroletniego, uprawnionych i powołanych do głosowania, Konstytucja Trzeciego Maja otrzymała faktycznie zaled-

wo 92 czy 96 głosów. Na 55 poprzednio w r. 1790 konsultowanych sejmików tylko 5 oświadczyło się za dziedziczością tronu, czyli najistotniejszym punktem Konstytucji Trzeciego Maja. Tak wyglądała rzeczywistość ówczesna!

Czyż więc te 80 do 90% narodu szlacheckiego, głosującego przeciwko niezbędnemu i zbawiennemu reformom, które się potem z większością byłych Konfederatów Barskich na czele znalazły z entuzjazmem w szeregach Konfederacji Targowickiej, były zdrajcami i wrogami samego siebie, to jest Polski? Niewątpliwie nie, tak jak niewątpliwie wśród tych 80% było bardzo wielu pospolitych zdrajców, służących dla zysków napuszonym hasłom, podsuwanym przez agenturę rosyjską. Olbrzymia ta większość narodu szlacheckiego szła "o prostu na lep płytkich, górnych, słowami "naród, wiara, tradycja" przeladowanych frazesów, szła na lep tych frazesów w najlepszej wierze i w najlepszej wierze unicestwiła dzieło grupy, która chciała zreformować państwo w imię postępu, nowych idei i konieczności politycznych.

Nie wolno bowiem czytać aktu Konstytucji Trzeciego Maja bez tekstu Manifestu Konfederacji Targowickiej z 14 maja 1792 przed oczyma. Słynny ten manifest wyszedł z pod pióra Dymy Bończy-Tomaszewskiego, później zresztą honorowego członka Uniwersytetu Wileńskiego. Zaprawdę nie znam w całej literaturze polskiej manifestu, napisanego z taką siłą i rozmachem tradycyjnej tromtadacji, a w imię najwznioślejszych słów i hasel, jak manifest Konfederacji Targowickiej. Nigdy chyba w dziejach ludzkich tak piękne słowa, taki huragan najpodnioslejszych wyrażen w imię wiary, narodu i tradycji, nie przyniosły tak nikczemnie tragicznych skutków, jak manifest Targowicy wówczas w 1792 roku, będącego faktycznym końcem przepięknej Rzeczypospolitej.

"Syk węża" bowiem Targowicy na tle podniosłego poloneza Trzeciego Maja, to ten morderczy dla duszy i dla dziejów polskich syk pytkiego, a górnolotnego frazesu, tromtadackiej megalomanii. Ten "syk węża" w formie pseudopatriotycznego frazesu był katastrofą duszy polskiej XVIII-go wieku, a odżywa on potem raz za razem, rzadko w wieku XIX-ym, a natomiast często w wieku XX-ym.

Nie wiemy zbyt wiele jednak ludzi, ani słów, nie mniej patrzymy stale na skutki działań ludzkich, bo historia osądza zawsze wszystkich tylko na podstawie rezultatów. Matejko wymalował i przekazał tradycji głównego oponenta Konstytucji Trzeciego Maja, który próbował na sali sejmowej naśladować Rejtana, — Suchorzewskiego z kartami, wypadającymi z kieszeni! W rzeczywistości Suchorzewski był osobiście jednym z rzadko prawych podówczas ludzi, był autorem najważniejszej ówczesnej reformy, bo ustawy o miastach, a gdy potem zobaczył skutki Targowicy, do której należał, to jeden z niewielu przeszedł poprzez Moskali zbrojną ręką zagranicę, nie chcąc pozostać w tej Polsce, której upadek zgłotał. Nie wystarczy bowiem kochać Polskę i dobrze chcieć dla ojczyzny, trzeba umieć dla tej ojczyzny nie tylko chętnie i ofiarnie, nie tylko krwawo, lecz przede wszystkim mądrze pracować i walczyć.

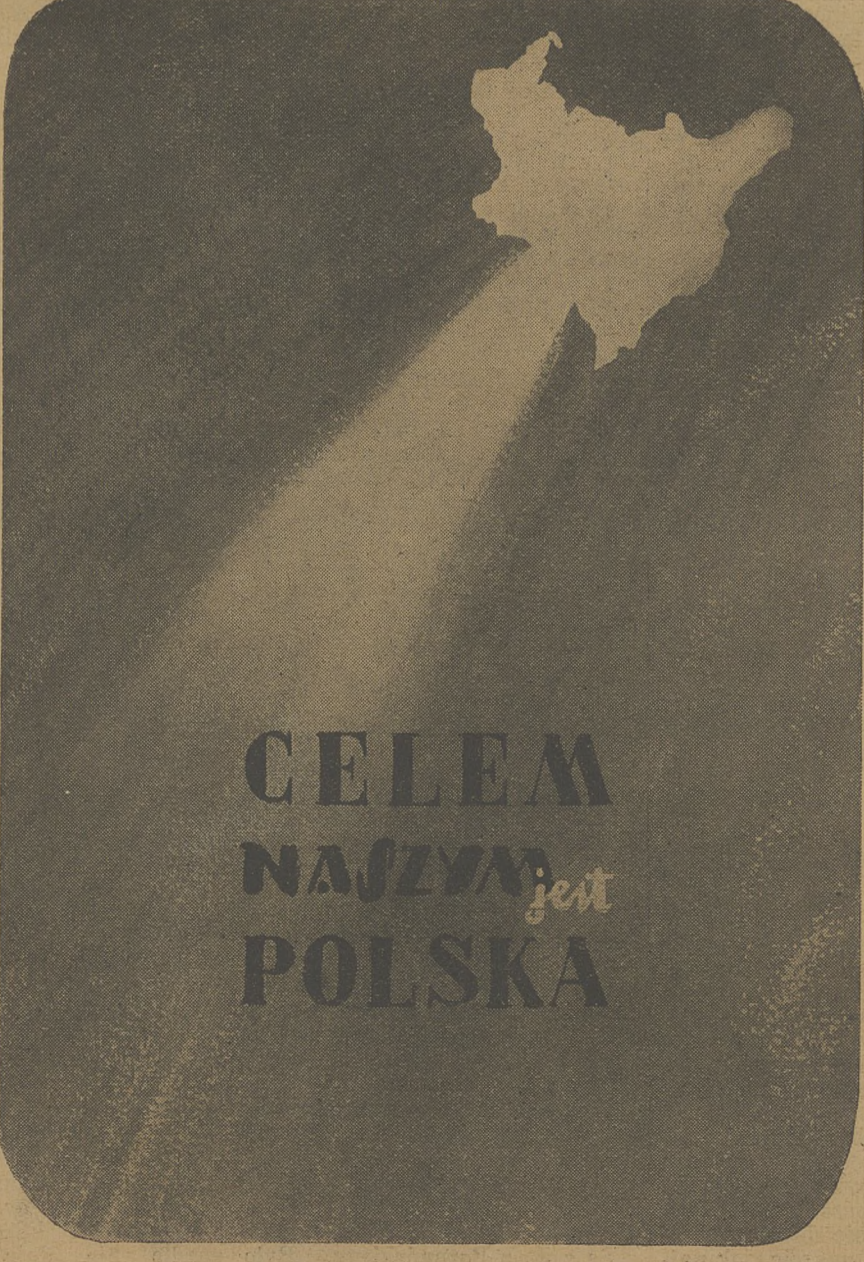
W roku 1936 przytoczyłem za prof. Skałkowskim w swej książce fakt, że lepsi spośród Targowiczów, widząc potem skutki swej działalności, kazali sobie na grobie wypisać "stulta nobis mens, non scelerata fuit" /zamyślił nasz był nierozumny, ale nie zbrodniczy/. Cytując to bicie się w piersi Targowiczów, ostrzegałem wówczas przy tych słowach przed grozą i nadchodzącą dla nas przyszłością. Stwierdziłem wówczas, że po doświadczeniach XVIII-go wieku nie wolno nam będzie drugi raz usprawiedliwiać się przed sadem potomnych "głupota" czyli błędami politycznymi, popełnionymi w dobrej wierze i dobrej intencji.

W obliczu bowiem wspomnień zarówno promiennej Konstytucji 3 Maja, jak niezamierzonego na szkodę Polski "syku węża" Targowicy, winien Polak dorocznie powiedzieć sobie samemu, bijąc się w piersi:

W tej wyjątkowo ciężkiej sytuacji politycznej Polski, nie wystarczy pracować dla Niej ofiarnie i w dobrej intencji, gdyż trzeba dla tej Polski walczyć i pracować — mądrze, z obliczeniem możliwości i skutków.

Od kilku dni przebywają wśród nas dwaj znakomici żołnierze, wstawieni walką i wysiłkiem organizacyjnym: gen. Anders, Dowódca Polskich Sił Zbrojnych w Z.S.R.R. i gen. Kopański, Dowódca Brygady Strzelców Karpackich. Z Ich imionami łączy się najbardziej trudne i tragiczne, wzniosłe i pełne nadziei epizody naszego udziału w tej wojnie: walka, klęska, niewola i tutactwo, zbieranie się w szeregi na obcej ziemi, nowa walka, niezłomna wola zwycięskiego przebijania się ku Ojczyźnie. To wszystko wcielają, to wszystko symbolizują dla nas i dla świata dwaj Generalowie, którzy są gośćmi Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii. Towarzyszy Im tu nasz podziw dla męstwa, siły charakteru i woli, towarzyszy Im tu poczucie głębokiej jedności, naszej wierności nakazom, której Oni dowiedli już czynami najwyższej żołnierskiej miary.

Rys. Jerzy Faczyński



OLGIERD GÓRKA

# Trzeci Maj (Warszawa, 1891)

Pan kurator się gniewa...  
Cisza w starym gmachu.  
Na schodach siwy szwajcar dygoce ze strachu,  
w "przyjemnej" drzy sekretarz w granatowym fraku  
pośród licznych petentów zbladłego orszaku.

Pan kurator się gniewa...  
Nie będzie "przyjmu"! —Nie przyjmować nikogo! —Odprowadzić do domu!

Cóż ci to, tajny radco?  
Zapachniało majem!  
Młoda wiosna owłada "prywiślańskim" krajem.  
Samowolna, na datę legalną nie zważa i podrzuwa z starego stylu kalendarza.  
W petersburskiej stolicy jeszcze mrozi prawie,  
zimny kwiecień, a tutaj—tutaj maj w Warszawie?

Trzeci maj tchnie w ogrodach rozkwitłymi bzami!  
Trzeci maj niebieskimi powiewa czapkami po ulicach i placach!  
Z studenckich czwartaków wylatują by roje rozwierkanych ptaków, a gdzie Starego Miasta piętrzą się facjatki, kaszkiety rzemieślnicze stawają w gromadki.

Idą... Wiedzą, gdzie idą, dokąd i których, choć nikt nie rzuca hasel, nie daje komendy.  
Na próżno z rogów ulic niechętny stójkowy typie okiem z pode łba, niemy i surowy. Już strumyki się łączą, kaskada się leje tłum w plac Aleksandra i dalej— w Aleje.

Ha, chytry rodzie laszy!  
Policmajster czuwa!  
Wie Klejgels, dokąd tłum się podstępnie przesuwia!

W Botanicznym ogrodzie jest kopczyk nie duży,  
niby nic—jedno drzewo, kilka krzewów róży,  
lecz przeciw buntowniczą myśl w tym kopcu gości Kollatajów, Kilińskich—kościół Opatrzności!

Pan kurator z Klejgelsem wczoraj przebiegł ścieżki i pokazał, gdzie będą studenckie zamieszki.  
Pan kurator przewęchał, co się w głowach roi: niech tu wejdą, a tron się carski nie osto!  
Nie darmo od monarchy ma gwiazdziste znaki.  
—Otoczyć! Aresztować! Gdy trzeba —kozaki!

... A tłum płynie, jak fala, cicha i szemrząca, rozkołysany hymnem wielkiego miesiąca, prawdziwie w jeden akord skonfederowany.  
Vivat Polska! I młodzie! Vivant wszystkie stany!  
Aż niektórzy ze starych, chociaż nie pochwała tego "drażnienia rządu," synom iść pozwala.

Tłum, żołnierski odwaga, choć idzie bez broni;  
dreszcz ofiary i męstwa z serca w rozpaczy mogile.  
Zaplata za dziesiątki lat w przyziemnym pyłu, w lochach więzień moskiewskich, w rozpaczy mogile.  
—Choć nie pogńębim wroga gołymi rękami, przecież krew nasza zbudzi lud, co pójdzie z nami!

—Dosyć! Nie idźcie dalej! Patrzcie, co się dzieje!  
Zadrgały kłębówiskiem spokojne Aleje.  
Prą na przód czarty zwinne na burych konikach,

w czerkieskach i papachach, w czerwonych basztykach,  
i nahażka kozacka spada, gdzie zamierzy. —Hej, koleczy! Tratuja! Bij, kto w Boga wierzy!

Lecą stolki z kawiarni, marmurowe blaty na nahażki i konie, na dzikie soldaty.  
Przed "Sans-Souci" sam Klejgels pobladnął nadęty.  
—Umieją i bez broni bić polskie studenty!  
Aż nadbiegła policja, sprawdza matrykuły...  
—Cóż! Cytadela pełna! "Odwodziec" w cyrkule!

Pan kurator dokładnie przewidział "powstanie"; pan kurator od cara wziął podziękowanie.  
Ale Klejgels wziął więcej: poznał, co to stawa.  
Nim pole bitwy rzucił, już cała Warszawa w pogwizdzie uliczników wolała: —  
Merci, zwycięzco bohaterski, huc z pod "Sans-Souci"!

O, miasto me, pogodne i w więzach niewoli, co tak umiało zdrwić z tego, co cię boli, co Trepowowi dało w twarz pod wodotryskiem, a Mengdena zrobiło ludzkiem pośmiewiskiem!  
Gdybyś dziś, znowu zdobne stolicy diademem, witano Trzeci Maja nie w milczeniu niemem, nie, jak na widowisko, szło na plac marsowy, przed sztandarami raźniej odstaniało głowy, gdybyś i dziś, na każde narodu zakłecie, dało serce, co niegdys biło w twym studencie— królewski blask wolności padł by ci na lico i była byś piękniejsza, Warszawo—stolico!

POŚLANIE Z DALEKA  
Tak pobluźniłem kiedyś...  
Ty, skrwawiona matka, wybac te marne słowa, skalane goryczą—  
któraś się nie ugiera przed cma napastniczą  
i z granatami w rękę trwałaś do ostatka.  
Nie mnie ci wić wawrzyny, ni za słowem gonisz, boś ty nad słowo wyższa i niepokalana.  
Do twych Kamiennych Schodków przyciągaj mi kolana,  
żem ja—syn—nie powrócił, aby ciebie bronić.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

## PRZYPISY

W r. 1891, w stulecie Konstytucji 3-go Maja, młodzież warszawska postanowiła zrobić manifestację uliczną, polegającą na tłumnym udaniu się do ogrodu Botanicznego i ukwiecieniu znajdujących się tam fundamentów ślubowanego i rozpoczętego w dniu Konstytucji kościoła Opatrzności; kościół ten nigdy nie został ukończony.  
Działo się to w okresie brutalnej polityki rusyfikacyjnej, kierowanej przez kuratora warszawskiego okręgu naukowego Apuchtina. Manifestacja odbyła się, powodując bójkę studentów z kozakami i policją w Alejach Ujazdowskich, pod cukiernią "Sans-Souci." Mnóstwo młodzieży aresztowano, relegowano z uniwersytetu i zesłano do Rosji, ale świadomość ulicy warszawskiej, przytłumiona latami po-powstaniowej niewoli, została znów rozbudzona. Ober-policmajstra Klejgelsa przeważnie "zwycięzcą z pod Sans-Souci."  
Trepow i Mengden—ober-policmajstrzy warszawscy z epoki powstania styczniowego. Trepowa na Starym Mieście spoliczkowała przekupka, co uwieczniono w ulicznej piósence; Mengden wydał nakaz chodzenia od zmruku z latarkami i opowiadania się rontom wojskowym. Mieszkańcy Warszawy na rosyjskie zapytanie: "Kto idiot?" /"Kto idzie?"/ odpowiadali: "Hengden idiot" /"Hengden idiota".  
Wiersz "Trzeci Maj" został napisany w r. 1923, kiedy dużo mówiono o zaniku ducha patriotycznego w Warszawie. Autor, odtwarzając całkowicie tekst, uznał za konieczne dać wyraz swemu uczuciu względem rodzinnej miasta.

# Trzeci Maja w Stalagu \*\*\*B

W kwietniu, gdy wiosenne słońce zaczęło leczyć nasze nabyte w ziemie bronchity i reumatyzmy, postanowiliśmy przystąpić do zorganizowania obchodu 3 Maja i przemycić go pod pozorem koncertu. Oczywiście "Gruppe III" Komendantury Stalagu—Gestapowcy w żołnierskich mundurach pod niewinną nazwą "cenzorów obozowych"—wyculi od razu co się święci, gdyby koncert proponowany był na dzień 3 maja. To też nasz maż zaufania, starannie wybrawszy dzień dobrego humoru szefa "Gruppe III" Hauptmanna B., wytargował pozwolenie na koncert na ostatnią niedzielę maja. Program *selbstverständlich* do odcenzurowania i "cenzorzy" obecni na koncercie. A próby—od czasu do czasu, wieczorami, na baraku 26. I już nasza rzecz była, aby jedna z prób odbyła się przypadkiem 3-go Maja, żeby parę gorętszych słów powiedzieć, coś zadeklamować i zaśpiewać—coś, co *selbstverständlich* nie przeszłoby przez cenzurę Hauptmanna B.

Właściwie tylko chór potrzebował paru prób i nasz dyrygent zbierał swych śpiewaków daleko od utartych szlaków Niemców, na małej łączce za mурowaną latryną. Zastaliśmy ich tam 3-go maja rano, ćwiczących półgłosem, pod strażą wystawionych czujek, nieodzowne "Witaj Majowa Jutrzenko." Ranek był ciepły, prawdziwie wiosenny; słońce rozpraszało ostatnie opary nad rzeką i bieliło krętą linię drogi widocznej poprzez wysoki zasiek kolczastych drutów. Wzgórza błyszczały soczystą zielenią ozimin a podmiejskie domki niedalekiego miasteczka—którego nazwę nosi nasz Stalag—ginęły w białych pióropusach kwitnących drzew owocowych.

—Idealna pogoda—prawdziwy Trzeci Maj—komentowali śpiewacy, kręcąc w czasie przerwy papierosy.  
—Prawie dziewięta godzina.

Por. "Wigilia w Stalagu \*\*\*B" w nr. 51-52 "Polski Walczacej" z r. 1941. W obu opowiadaniach, ściśle autentycznych, wszelkie wskazówki co do osób i miejsca są, ze zrozumiałych względów, jak najstaranniej usunięte.

Co roku o tej porze cechowy sztandar niosłem do Fary. A potem pochód...—huczał tęsknym basem mistrz szwabski z P., teraz "starszy" w warsztatach obozowych, zwolniony "na chorego," jak i większość śpiewaków, żeby mogli trenować rankami.  
—"Drugi Trzeci Maja w niewoli, a mnie się wciąż zdaje jakby dziś: poczet sztandarowy naszego pułku na dziedzińcu przed dowództwem—pod kasztanami..."  
—Rozmarzajcie się, rozmarzajcie,"—przerywa wieczny burzyciel nastrojów —marynarz z Floty Pińskiej, popularny z powodu jedynej w obozie, pieczołowicie cerowanej błękitnej bluzy—"ten już swój cech widzi paradyżący z dratwą do Fary—tamten piechociński ustawia do deflady; jak się tak jeszcze trochę rozmarzycie, to cały pochód trzeciomajowy gotowicie zobaczycie na tej szwabskiej szosie!"  
I tak się jakoś stało, że spojrzeliśmy wszyscy poprzez druty na drogę wiodącą wśród wzgórz do miasteczka i stacji kolejowej. Już się nikt nie odezwał. Staliśmy wpatrzni, nieruchomi, gotowi uwierzyć w zbiorową hypnozę lub cud.  
Droga zbliżała się ku nam pochód. Czwórki za czwórkami dzieci, kobiet i mężczyzn w cywilnych ubraniach szły wolnym krokiem. Kilka-kaset osób. A gdy czoło zbliżyło się do drutów i mogliśmy już rozpoznać szkolne mundurki, polatane suknie i ubrania, a potem linię mundurów *feldgrau* zamykająca pochód, nie było już wątpliwości: to Polacy.  
Kolumna minęła wejściową bramę Stalagu i niknęła powoli pomiędzy barakami łaźni, pralni i odswawialni.  
W obozie zawrzało. Wszystko to było tak nieprawdopodobne, że nawet plotka, która normalnie potrafiła wytłumaczyć każde zjawisko Stalagowego życia i obiec obóz z astronomiczną szybkością, tym razem w ogóle się nie narodziła.  
Oczywiście do baraków łaźni nie można się było dostać. Eskorta kolumny wystawiła posterunki, oficerowie i porządkowi obozu z psami kręcili się dokola. Staliśmy więc tylko uparcie, jak naj-

bliżej: tłum jeńców rósł, i chociaż parę razy puszczano na nas psy—zbiieraliśmy się ponownie.  
Dopiero po jakiejś godzinie dowiedzieliśmy się wszystkiego: sanitariusz niemiecki idący na Polską Izbę Chorych poinformował nas źródłowo, że tych 300 osób to polscy *Freiwillige* na roboty rolne w tutejszym okręgu, że transport ten przed rozesłaniem po wsiach trzeba wykąpać, zbańać i zaszczyć. W powiatowym szpitalu nie dąbly rady—nie spodziewali się tak liczne goście—tutaj pomocy obozowi lekarze i sanitariusze, no i instalacje są lepsze. Do czwartej populudniu wszyscy musza być załatwieni.  
W południe, jeden z polskich sanitariuszy przemknął się do nas na chwilę z wiadomością, że transport był cztery dni w drodze, w zapłombowanych bydlęcych wagonach, od dwu dni nie jadł i nie tutaj z obozowej kuchni nie dostanie. Są obdarci, bez żadnych bagaży.  
—"Zróbcie coś!"  
Zebrałiśmy po barakach parę kubiów zupy, którą właśnie na nasz obiad fasowali, trochę męnażek i lyżek, chleba i sucharów Czerwonego Krzyża. Ktoś zrobił zbiorke bielizny i skarpet, na którą poszły wszystkie nasze skarby z takim trudem i ryzykiem ściągane z niemieckich magazynów.  
Czekaliśmy potem aż do drugiej godziny, żeby się większość szarż wyniosła na sobotnie wolne populudnie. Wreszcie obladowani, porządna kolumna, pod komendą szefa baraku—żeby wyglądało, że nam ktoś kazał nieść to wszystko do łaźni—ruszyliśmy we dwudziestu na linię posterunków. Udało się; wartownik zaledwie spojrział na nas.  
Pierwsze grupy właśnie wychodziły z baraku odswawialni na plac pomiędzy magazynami, lekarze, parę siostr z powiatowego szpitala i urzędnicy "Arbeits-amtu" zajęci są jeszcze w budynku. Możemy spokojnie dzielić strawę i pomówić.  
Wszyscy są oszołomieni, nieludsko zmęczeni i głodni. Niczym już się nie dziwią. Jedzą zupę, apatycznie przyjmują bieliznę i obojętnie, jakby rzecz naturalną, opowiadają swoją historię.  
Są z J., z Poznańskiego. Było

wezwanie do ochotniczego wyjazdu do Niemiec na roboty rolne. Nowy landrat chciał się popisać i zebrać więcej ochotników, niż inne powiaty. Zgłosił się jeden, jedyny ochotnik. Potem jeszcze jedno wezwanie, a potem—cztery dni temu—poszła obława: zabierali wszystkich, jak kto stał, w mieście i paru najbliższych wsiach. Na stację, późnym wieczorem, przyjechał landrat i zdecydował, że za mało tych ochotników. Już od dawna ciężko znaleźć Polaków w Poznańskim. Więc uzupełnili do 300 osób starcami i dziećmi, wyciąganymi przez policję z łózek.  
Z baraku wychodzą nowe grupki; większość stanowią kobiety: dziewczynki—chyba nie więcej, niż 10-cio letnie—z zaplakanyimi oczami, podlotki w wyszarzanych pensjonarskich mundurkach o wyblakłych odznakach, wiejskie dziewczyny o mocnych, wyrażystych twarzach i spracowanych rełkach i starsze panie w miejskich sukniach. Wśród mężczyzn są tylko chłopcy, po 12-16 lat i starsi ludzie po pięćdziesiątce. Najstarszy z nich, siwy staruszek—to właśnie ten, jeden jedyny ochotnik. Odsuwa męnażkę, którą mu podaje i mówi z trudem, prawie szepcąc:  
—"Nie mogę—astma dusi, panie kochany... Na ochotnikam się zgłosił—dwóch synów w niewoli—dwóch najmłodszych już dawno—zabrali na pracę. Myślałem, że choć—nim ta astma zadusi—może ich gdzie spotkam..."  
Pani w ciężkiej żalobie, o marmurowo spokojnej twarzy, namawia córke—młodą delikatną pannienkę—by jadła. Urzędnicy "Arbeits-amtu" wypisujący przydziały, powiedzieli jej przed chwilą, że córka pojedzie osobno. Ale pani w żalobie nie płacze. Dzięki nam uśmiechem i ręce ścisła i mówi:  
—"Trzymajcie się chłopcy."  
Parę minut przed czwartą ściągali posterunki i eskorta poczęła ustawiać kolumnę. Co raz więcej jeńców przemyka się jak najbliżej, żeby choć parę słów zamienić, twarzą może znajomych poszukać i kilka papierosów wcisnąć. Żegnamy się, ale gorycz i wściekłość, która chwytła za gardło nie daje sformułować

ciepłych słów pociechy.  
Astmatycznego staruszka—tego, co na ochotnika przyjechał—wywołują z kolumny. To jedyny, zwolniony przez niemieckich lekarzy jedyny uznany za niezadowolnego do pracy. Wartownik zabiera go na stację—pojedzie do domu.  
Dwóch cywilnych doktorów wychodzi z polskim lekarzem-jeńcem, kapitanem S. Nasz kapitan zawsze spokojny i opanowany—teraz gestykuluje gorąco, coś tłumaczy, pokazuje na parę szeregów najmłodszych dzieci. Niemieccy lekarze kręcą głowami, a gdy podeszli bliżej, słysze, jak jeden z nich mówi zimno, uprzejmie...  
—"aber das sind doch *Freiwillige* Herr Stabsarzt!" /"...ależ, panie doktorze to są ochotnicy!/. Nasz kapitan wola donosić, najpierw po niemiecku—potem po polsku:  
—"Ci co na ochotnika przyjechali—ręka do góry!"  
W ciszy, która zapanowała—kolumna stoi nieruchomo. Jeszcze raz to samo wezwanie. Nikt nie podniósł ręki. Kapitan patrzy w twarze niemieckich doktorów—zdaje się, że chce coś powiedzieć, ale tylko gest ręką zrobił, gest, w którym było tyle samo pogardy, co bezsilności i zniechęcenia. I odszedł bez słowa.  
Ktoś krzyknął niemiecką komendę, która zabrzmiała, jak kłaniać się. Ktoś w kolumnie zapłakał. Pochód ruszył.  
Trzeci-majowy pochód 1941 roku w Stalagu \*\*\*B.  
Nie zrobiliśmy już wieczorem obchodu, bo cóż mogło by być większy wyraz, cóż mogło by być pamiętniejszego od tego pochodu niewolników, za którym długo patrzyliśmy poprzez kolczaste druty, jak niki nam wolno z oczu wśród zielonych wzgórz znienawidzonej ziemi—w wiosenne populudnie Narodowego Święta.  
I nie warto już było udawać prób i organizacji koncertu. Hauptmann B. miał dzięki temu dobrą okazję do powiedzenia paru trafnych uwag o polskim słońmianym ogniu i wykazania jak nisko stoi polska kultura. Nawet koncertu nie mogą urządzić!  
"KRIEGSGEFANGENER NO. \*\*\*"

OCEAN

Po kłes w której nowoczes: ków /hol./ /bryt./ /Electr piter." "Pope" i "Witt Japończy temu, be te wyspe kunastu i w niespo Jak t Doorman walczył p go były wiecznie ba: brał powietrzy wietrznej; bitwy n w warun sach san wietrzny niedostat to opisu spondent Daily I sprzymię wiedzni /garażów ani jedne lina," l z brzegu dane nie niki japo torpedow wodniopl całej bit ponad o, nie ogniem j Poza t bitwie z tów pod cych z sa oraz za: stosowa swoim i zostają i ko miny torpedie w powieł skie: fla "De Ru ne natk unieruch ciał w o skich z kontrtor Trzeb dy po były i zaopat kie okre nie i do przeważ: la prze Japończy

# Wojna na morzu



## OCEAN SPOKOJNY I OCEAN INDYJSKI

Po klęsce na morzu Jawajskim, w której Sprzymierzonym stracili 5 nowoczesnych i silnych krążowników /"De Ruyter", "Java" /hol./, "Houston" /am./, "Perth" /austr./ i "Exeter" /bryt./ oraz 7 kontrtorpedowców /"Electra", "Encounter", "Jupiter", "Stronghold" /bryt./, "Pope" /am./, "Kortenaar" /"Witte de Witt" /hol./— Japończycy opanowali całkowicie morza na północ od Jawy, i dzięki temu, bez przeszkód wysadzili na te wyspy ogromne desanty w kilkunastu punktach naraz i zajęli ją w niespodziewanie krótkim czasie.

Jak teraz wiadomo, admirał Doorman na czele swojej eskadry walczył po bohatersku, ale siły jego były niezrozumiale małe, wiecznie powtarzająca się choroba: brak dostatecznego wywiadu powietrznego i brak osłony powietrznej, rozstrzygnęły o losie bitwy morskiej i tym samym w warunkach tamtejszych, i o losach samej wyspy. Wywiad powietrzny Sprzymierzonych był tak niedostateczny i niecisły, że /jak to opisuje George Weller, korespondent australijski w "The Daily Telegraph"/ krążowniki sprzymierzonych, pomimo odpowiednich urządzeń, pomimo pokładzie /garażów i katapult/, nie miały ani jednego hydroplanu, a "Catalina", która została wysłana z brzegu na wywiad, przyniosła dane niecisłe, awizując 2 krążowniki japońskie zamiast 8 i 4 kontrtorpedowce zamiast 13. Natomiast wodniopławce japońskie podczas całej bitwy nieustannie krążyły ponad okrętami sprzymierzonych i, nie niepokojone, kierowały ogniem japońskim.

Poza tym Japończycy użyli w tej bitwie z powodzeniem zapory okrętów podwodnych, współdziałających z samolotami i krążownikami oraz zaskoczyli sprzymierzonych stosowaniem torped, które po swoim przebiegu nie toną, lecz zostają na powierzchni, służąc jako miny pływające. Na takiej torpedzie wyleciały, zdaje się, w powietrze krążowniki holenderskie: flagowy admirała Doormana "De Ruyter" i "Java", a zapewne natknęły się na taką samą usterkę już torpedy wyleciały w oczach rozbitków holenderskich z k.t. "Kortenaar"—duży kontrtorpedowiec japoński.

Trzeba przyznać jednak, że błędy po stronie Sprzymierzonych były wyłącznie strategiczne i zaopatrzeniowej natury. Wszystkie okręty walczyły bardzo dzielnie i do ostatka, a straty, zadane przeważającym siłom nieprzyjaciela przewyższyły straty własne. Japończycy stracili prawdopodobnie

co by osłabiło zaufanie Admiralicji do tego dzielnego i wypróbowanego w bojach admirała /Admirał Somerville był przedtem dowódcą eskadry w Gibraltarze.—przyp. red./ Muszę jedynie dodać, że jest zupełnie niemożliwe robić posunięcia na morzu z niustającą eskortą powietrzną dla wszystkich brytyjskich okrętów. Wiele przedsięwzięć każdego dnia marynarka brytyjska musi wykonywać bez takiej osłony. Jeżeli jednak musimy się narażać na takie ryzyko to wynika to z ogromu zadań, które spoczywają na barkach brytyjskiej marynarki wojennej, czy to w prowadzeniu konwojów, czy to w walce na morzach całego świata.

Według danych, ogłoszonych przez źródła niemieckie i włoskie w końcu marca b.r. miały rzekomo przejść mimo Przylądka Dobrej Nadziei w kierunku Oceanu Indyjskiego 4 okręty liniowe brytyjskie w towarzystwie poważnej floty lotniskowców, krążowników i kontrtorpedowców. O ile informacja ta sa prawdziwe okaże przyszłość i wyniki walki na Oceanie Indyjskim, na którego dnie leży klucz do Indii, Persji i do najgorszej z możliwości wojennych, do tego, aby "osiwoy" mogli sobie podać ręce poprzez morza.

W tym samym czasie, gdy bombowce nurkujące atakowały "Dorsetshire" i "Cornwall" w innym miejscu, na południe od Colombo, samoloty japońskie zaatakowały i zatopiły lotniskowiec brytyjski "Hermes." /Budowa z r. 1919; 18,000 tonn, 25 węzłów, 20 samolotów./ Stało się to w czasie, gdy był on pozbawiony swych samolotów, wysłanych na obronę Colombo.

## MORZE ŚRÓDZIEMNE

Pewną rekompensatą dla Sprzymierzonych było nowe powodzenie na Morzu Śródziemnym. Brytyjski okręt podwodny "Triumph" zatopił włoski krążownik typu "Bolzano" /10,000 tonn/, a w świetnej akcji morskiej eskadra Morza Śródziemnego, pomimo gwałtownych ataków powietrznych niemieckich i włoskich samolotów, oraz pomimo próby "wypadu" floty włoskiej, zdołała doprowadzić z bardzo małymi stratami wielki konwój transportowców do Malty. Nieszczęsna wyspa jest bezustannie bombardowana z powietrza przez lotnictwo niemiecko-włoskie, a domy zburzone na Malcie liczą się nie na tysiące, ale na dziesiątki tysięcy. Twierdza jednak stoi nienaruszona i baza morską trwa. Jej znaczenie jest olbrzymie.

Sądząc z gwałtownych ataków powietrznych na Malte, oraz wnioskując z podejrzanych ruchów lotnictwa niemieckiego nad Dodekanezem, jak też sądząc z koncentracji wojsk spadochronowych niemieckich na Krecie i na Rodos "Osiwoy" przygotowują się do większej akcji powietrzno-lądowo-morskiej na Morzu Śródziemnym w kierunku: Syria, Egipt.

## NA ATLANTYKU PANUJE GROZA

Prasa brytyjska i czołowi mężowie stanu Wielkiej Brytanii i Ameryki bynajmniej nie ukrywają, że wiosenna ofensywa niemieckich okrętów podwodnych zadaje Sprzymierzonym wielkie, nawet bardzo wielkie straty w tonażu statków handlowych, topionych bez miłosierdzia. "Zakres" działań podwodnych nieprzyjaciela rozszerzył się bardzo przez wstąpienie Ameryki do wojny, oraz mniejsze doświadczenie konwojenki nowych sprzymierzonych. To też w chwili obecnej największe straty ponoszą Jankesi, a wybrzeże obu Ameryk jest widownią istnych polowań na konwoje i pojedyncze statki.

Niemcy jednak nie ograniczają się do topienia statków państw wujujących, ale topią wszystko, co się pojawi na horyzoncie. W ten sposób w ostatnich czasach poszło na dno wiele statków brazylijskich, argentyńskich oraz innych państw "neutralnych" Ameryki Łacińskiej. Fala gwałtownego oburzenia i gniewu załaza zwłaszcza Brazylię, którą niesłusznie posiadano dotąd o sympatie "faszystowsko-nazistowskie." Syn mój pisze z Brazylii:

—Ludność naszego miasta urzadziła /jak i w innych miastach brazylijskich/ wspaniałą i gorącą manifestację "antysioowa." Wybito szyby i potoczono neony w jakichś meze 200 sklepach niemieckich i włoskich. W olbrzymiej drukarni rotograwiurze niemieckiej, gdzie pracuje z górą 400 robotników polamano maszyny, wdzierając się do

środku i drąc olbrzymie zapasy papieru. Zostały gołe ściany. W niemieckim sklepie manufaktury podarto na drobne paski kilkadziesiąt bel męskiego, wełnianego materiału na ubrania. W zrzeszeniach niemieckich i włoskich wyrzucono meble z 3 piętra na bruk, robiąc razem z książkami ogromne ogniska. Miasto przebiegały grupy ludzi, uzbrojonych w łomy, wyważając stalowe kraty ze sklepów i niszcząc całą zawartość. A przy tym trzeba przyznać, że owego 19 marca nie było prawie wypadków kradzieży. Taka była odpowiedź Brazylian na zatapanie ich statków.

Ale groźniejszą "odpowiedź" dali Niemcom Sprzymierzonym na samym oceanie. Niemcy nie ukrywają już, że ilość "zaginionych" okrętów podwodnych wzrasta z każdym dniem i obecnie całe serie niemieckich okrętów podwodnych przestały istnieć. Kontrtorpedowcom brytyjskim, polskim, amerykańskim "mleją ramiona", od pracy przeciw okrętom podwodnym i prawie nie ma k.t. któryby nie mógł się poszczycić "prawdopodobnym" chociaż niemieckim podwodnikiem. Nie należą też do rzadkości tacy "szczęściarze" co przywożą do bazy po 2 i 3 załogi zatopionych okrętów podwodnych. Sławny zaś jest w całej flocie brytyjskiej kontrtorpedowiec, który nie tylko przywiózł załogi 2 okrętów podwodnych niemieckich na swoim pokładzie, ale jeszcze "przyciągnął na sznurku" prawie nieszukowany trzeci niemiecki okręt podwodny. W ten sposób przedelflował wzdłuż długiej rzeki, na której brzegach ciągną się nieskończone stocznie. Były one pełne wiwatujących robotników. Istotnie "triumf" godny rzymskich Cezarów.

Walka trwa. Zaciekle, nieublagana, zimna, okrutna. Jakie będą jej wyniki trudno przewidzieć już dziś. Ale... przekonany jestem, że przedź Niemcom wyczerpią się okręty podwodne, choćby nie wiem jak liczne, niż zostanie zniszczony tonaż amerykańsko-angielski, odbudowywany z szybkością i w ilości wprost nieprawdopodobnej. Chodzi więc tu bardziej może o ludzi. Ludzie, załogi okrętów, marynarze muszą wytrzymać, muszą wytrwać, topieni i łepieni, jak dziłkie zwierzęta w trzebionej puszczy. Jeśli ludzie wytrzymają—wytrzyma i tonaż.

## MARYNARKA FRANCJI

Wobec gwałtownych zmian politycznych we Francji i wobec dojścia do władzy zaprzędanego Niemcom Lavala, w chwili, gdy piszę te słowa rozważana jest możliwość /po raz nie wiem który/ użycia floty francuskiej po... stronie niemieckiej.

Siła jej obecnie jest bynajmniej nie do pogardzenia. Większość marynarki skoncentrowana jest w Toulon'e. Znajdują się tam 2 najnowocześniejsze okręty liniowe "Dunkerque" i "Strasbourg", "Dunkerque" już całkowicie naprawiony/ każdy po 26,500 ton, uzbrojony w 13 calowe, dalekonośne działa/ oraz stary okręt liniowy "Provance" /22,189 ton/. Są tam też ciężkie krążowniki "Algerie", "Colbert", "Foch" i "Duplex", uzbrojone w 8 calowe działa, 4 krążowniki, uzbrojone w 6 calowe działa, duża ilość kontrtorpedowców i okrętów podwodnych oraz 10,000 tonowy lotniskowiec "Commandant Teste."

W Dakarze znajduje się /podobno również już naprawiony/ największy francuski okręt liniowy "Richelieu" /35,000 ton/ wraz z 3 dalszymi krążownikami, uzbrojonymi w działa 6 calowe. W Casablance stoi "brat" "Richelieu"—okręt liniowy "Jean Bart"—nie posiadający jeszcze wprawdzie artylerii głównej, ale uzbrojony dosyć poważnie, aby się z nim poważnie liczyć. Na Martynice i w porcie Guadelupy znajdują się lotniskowice "Bearn" /22,146 ton/ oraz "najnowocześniejszy krążownik świata", jak głósz Francuzi /czy nie przesada?/: "Emile Bertin." Tam też znajduje się krążownik-okręt szkolny "Jeanne D'Arc."

Jak widzimy z tego pobieżnego zestawienia marynarka Vichy jest jeszcze bardzo poważna i użyta po tej czy po tamtej stronie mogłaby być czynnikiem, jeśli nie rozstrzygającym, to w każdym razie co najmniej "kłopotliwym." Amerykanie też pilnie obserwują wszelkie ruchy marynarki francuskiej i na ich zapewne barki spadnie "wyrównanie sił."

## GROS FLOTY NIEMIECKIEJ W TRONDHJEM

Jak doniosły samoloty zwiadowe R.A.F.—potężna eskadra niemiecka znajduje się obecnie w Trondhjem. Jest tam podobno "brat" "Bismarcka"—"Tirpitz", jest "kieszonkowy pancernik" "Admirał Scheer", okręt liniowy "Scharnhorst", dwa krążowniki: "Hipper" i "Prinz Eugen", oraz spora liczba kontrtorpedowców i okrętów podwodnych.

W jakim celu admirał Raeder skoncentrował tak znaczne siły morskie w północnej Norwegii trudno przewidzieć. Może to być równie dobrze "siła osłonowa" przeciw spodziewanej inwazji Norwegii przez Sprzymierzonych jak i "kułak" dla przecięcia drogi zaopatrzenia Rosji w czasie spodziewanej ofensywy wiosennej na wschodzie, jak i wreszcie... flota w celu szachowania Home Fleet w czasie inwazji Anglii. Amerykanie przypuszczają nawet atak na Islandię i na drogi łączności Stanów z Wielką Brytanią. Bez względu na to, jakie stawiali-byśmy przypuszczenia, w szerokiej strategii obecności tej floty na północy bynajmniej nie jest na ręce Sprzymierzonym.

## "GNEISENAU" W GDYNI

Jak stwierdziły zdjęcia lotnicze uszkodzenia "Gneisenau", dokonane podczas słynnego "sforowania La Manche" były na tyle poważne, że musiano z okrętu zdjąć, według raportu, 3/4 jego płyt pancernych. "Gneisenau" znajduje się w naszej Gdyni. Głębokość wspaniałego portu polskiego i jego dogodne położenie, naprowadziły admiralację niemiecką na myśl, aby tam reperować nawet tak wielkie okręty jak "Gneisenau."

## NAJWIĘKSZY OKRĘT PODWODNY ŚWIATA ZATONAŁ

Największy okręt podwodny świata, słynny "Surcouf" nie powrócił w oznaczonym czasie i powinien być uważany za zaginiony, jak doniosło dowództwo floty Wolnych Francuzów w Londynie. "Surcouf" był doświadczalnym typem okrętów podwodnych i, zdaje się, budowa podobnych okrętów nie będzie w przyszłości powtarzana (2,880 ton, załoga 150 marynarzy, 2 działa 8 calowe, mogące strzelać podczas "pólanurzenia okrętu", 2 działa 37 mm. p.l., 10 wyrzutni torpedowych 21,7 calowych. Miał też ze sobą 1 mały, zwiadowczy wodnopławiec.)

## POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Nasza mała flota sprawuje się nadal dzielnie i jak może rozstrawia imię Polski, co będzie miało swój skutek napewno, gdy "diplomaci zasiądą przy stole przykrytym zielonym sukniem." "Sokół" nadal "nie obniża fasonu", jak się wyraził pewien "urlopowicz", a "Kujawiak", po zatopieniu niemieckich transportowców w La Manche, o czym donosił komunikat, "miał szczęście" /też określenie koleżeńskie/ ściągnąć 2 niemieckie samoloty i, według słów drugiego komunikatu Kierownictwa Marynarki Wojennej, "ocalił konwoj".

Służba na okrętach polskich, jak i na innych okrętach Sprzymierzonych, jest ciężka, niebezpieczna i wyczerpująca. Chwile uniesień i triumfów bojowych zdarzają się niezmiernie rzadko i ci, co takie chwile przeżyli, uważani są za "szczęściarzy." Większość, przytłaczająca większość czasu spędzają przez marynarzy na okrętach, to ciężka praca, krwawy trud, naprężenie nerwów, niewygody i walka ze zmęczeniem, morzem i pogodą, nie licząc okrętów podwodnych, niebezpieczeństwa min, samolotów i "innych urozmaiceń." Niech jednak nikomu się nie wydaje że na kontrtorpedowcach, na ścigaczach i okrętach podwodnych ludzie "jedzą pomarańcze i spijają wino"... Na barkach tych utrudzonych i dzielnych chłopców spoczywa Polska, a wysiłek nieustanny nerwów, ciała i ducha sa jedynymi towarzyszami ich wysiłków. To należy i powinno się powtarzać przy każdej sposobności i w słowach tych nie ma przesady, choć sa tak "górne." To prawda.

Londyn, 27 kwietnia 1942 r.

BOHDAN PAWŁOWICZ



# Wspomnienia z Kampanii Norweskiej

### IV.\*

Jeden kierunek został zbadany. Kierunek ten prowadzący ze wzgórz bezpośrednio na nas, został ponadto całkowicie zabezpieczony. Należało jeszcze zbadać wzgórze od strony południa i zachodu a także nawiązać łączność z oddziałami II batalionu.

Było to bardzo trudne i niebezpieczne zadanie, należało bowiem obejść niemiecki klin wbity w nasze ugrupowanie i po tamtej stronie klinu szukać swoich. Znowu po zorientowaniu się w położeniu spytałem kto pójdzie na ochotnika. Tym razem znowu wystąpił oficer, porucznik o nazwisku także zaczynającym się na literę M.

Chętnie zgodziłem się na to, wiedziałem bowiem, że porucznik nadeśle wyjątkowo dokładny i rzetelny meldunek. Po pewnym czasie znowu rozpetęła się strzelanina. Także tym razem dostałem istotne wiadomości, lecz i ten patrol poniósł dotkliwe straty. Wreszcie musiałem wysłać trzeciego, tym razem silnie rozpoznającego.

Musiałem to uczynić na skutek wiadomości od pierwszego patrolu, że Niemcy otrzymali jakieś posiłki i zachowanie ich staje się co raz bardziej zaczepne. Jako dowódca plutonu rozpoznawczego z cekaemami i moździerzami poszedł na ochotnika mój zastępca major P.

I tym razem były straty. Miałem jednak zupełnie wystar-

zaczęły się chwiać i zalegać. Po ciskach przeciwnika gwizdały na wysokości niespełna jednego metra ponad głowami. Stawało się niebezpieczne wystawiać głowy zza kamieni lub kawałków darniny.

Kapral Pec ponownie wykonał skok i po wejściu na "ziemię niczyją" przykucnął za głazem i zaczął rąbać po Niemcach długimi seriami ze swego erkaemu. Robił to sprawnie, spokojnie i starannie, posyłając serie pocisków tam, gdzie odzywała się niemiecka broń maszynowa. Niemcy tym razem przychlichli nieomal natychmiast. Widoczne stało się, że większa ich część pochowała głowy. Nasi znowu poderwali się...

Kapral jednak ciągle był na czelu. W pewnej chwili został jakgdyby skoszony, przewrócił się, puścił erkaem, potoczył się nieco w dół, robiąc bezwładnym ciałem kilka obrotów, zderzył się z kamieniem, który go zatrzymał. Pod tym kamieniem zamarił w bezruchu.

Rana jak się okazało późnej była straszna i śmiertelna. Odłamek pocisku moździerzowego, którym kapral Pec został ugodzony, trafił w kieszkę stołcowa, przeszył żołądek wzdłuż osi ciała i utkwiał gdzieś w okolicy przepony brzusznej. Major P, który był obok kaprala, zrobił mu opatrunek. Było jednak jasne, że bohaterski podoficer nie będzie już mieszkańcem tego padolu.

Czyn kaprala wykazał niezbi-

Porucznik zaczął uprzytomniać sobie fakty i godziny w jakich one miały miejsce, aby na tej podstawie ustalić czy jest noc czy też dzień.

— "Dyć jest pierwsza w dzień" — odezwał się jeden ze strzelców z dowództwa batalionu.

— "Co ty tam gadasz?" — odezwał się drugi, dziecko prawie — "Teraz jest noc."

— "Po czym ty poznajesz, że jest noc?" — spytał pierwszy.

— "Jest noc, bo zrana jechaliśmy taksówkami."

— "Nie wiesz matole, że w wojsku nima taksówek, a są samochody?"

— "Byłem matolem jakieś cycek mamusi w gębie trzymał" — powiedział obrażony dzieciak do kolegi co najmniej 10 lat starszego od siebie.

— "Prześcieście się kłócić szczeniaki" — odezwał się trzeci, szpakowaty już żołnierz.

— "Panie Majorze w ta pora widzi mi sie już noc."

— "A czegoż ten stary piernik szarpie sie" — spytał pocichu pierwszy strzelec drugiego.

— "Bo matole" — po cichu powiedział dzieciak i obaj po przyjęciu prawdopodobnie do przekonania, że nie warto zastanawiać się, czy jest pierwsza w dzień czy w nocy, zawinieli się w płaszcze, po przyjacielsku przytulili się do siebie i po chwili już spali.

— "Mylicie się" — powiedział porucznik do szpakowatego żołnierza — "Jest pierwsza w dzień."

— "A po czemuż ta pan porucznik poznaje?" — spytał żołnierz.

— "Nie może być przecież, żeby akcja trwała całą dobę, wyjechałmy przecież nad ranem."

— "Taż na ta przekłeta góra leżli my pół dnia."

— "No i cóż z tego?"

— "A potem pół dnia poruczniki na rozwiadki chodzili."

— "A może macie i rację, może jest pierwsza w nocy."

— "Stary ulan zawsze ma racja" — odpowiedział żołnierz i zaraz przeniósł się wspomnieniami do swej rodzinnej Wileńszczyzny.

— "Pamiętam na Kaziuka raz przyjechał ja do Wilna, ta i poszedł z kolego na jednego. Fajna taka była restauracja na Kalwaryjskiej. Żona młynarza z Mejszgoły trzymała ta restauracja. Siedzim i pijem, a tu wchodzi znajomy organista z kościoła w Miednikach." "Czy można u Pani przetracić jednego" — spytał organista, a kobieta jak się nie rzuci na niego — "A cóż ta sobie ban myślisz, że tu można przetracać? Nie masz pan chonoru, idź pan sobie na Łukiszki, tam pan sobie znajdziesz panny do przetracania, a nie—to miotło jak ogryzie to długo będziesz pamiętał "kawal swalaczy". Organista tylko gembe rozdzwiał i stoi i milczy, tak się zadziwił, a ja w ta pora mówię do kobiety: — "Paniusiu taż ten pan chce wypić, jak ja odbywał czynna służba w ulaniskim pułku, to pan wachmistrz zawdy mówił przed obiadem: — Trzeba jednego przetronić, a nie może być, aby pan wachmistrz przed każdym obiadem miał amory z żono." Kobieta słuchała a potem w ta pora mówi: — "Może masz pan racja, może ten pan chciał wypić." Tak i nie przepędziła organisty."

— "A jednak jest pierwsza w nocy" — powiedział porucznik i na podstawie przebiegu wypadków udowodnił to, przyznając żołnierzowi rację.

— "Nu w ta pora pan porucznik omyliwszy się" — powiedział flegmatyczny żołnierz i po chwili zmęczony przeżyciami, ukolysany wspomnieniami rodzinnej ziemi spał twardo.

Nie mogłem zasnąć. Oczy bolały od tego nieustającego światła. Powieki zaczęły puchnąć już dawno. W głowie tkwił szum lecących bomb. Wspomnienie kaprala nie schodziło z pamięci.

Gdy o godzinie drugiej zniawidzone słońce wyłoniło się ocieżało zza gór i zaczęło znowu męczyć zbolały i zmęczony wzrok, postanowiłem pójść na dół do Emmenes odwiedzić kaprala.

Wzórże było już silnie obsadzone przez broń maszynową. Niemcy wycofali się do Ankenes, a następnie częściowo jeszcze w nocy na Narvik. Żołnierze zawinięci w płaszcze, z kawałkami darniny pod głowami, tej darniny, która za dnia była nieraz jedynym przykryciem, spali, trzymając silnie w objęciach kochanki-karabiny, oraz głośno i obficie puszczały w portki złego ducha.

Śniadanie, obiad i kolacja za dzień 29 maja oraz śniadanie na 30 maja miały przybyć za parę godzin.

Poszedłem do Emmenes...

Angielska czołówka sanitarna

biąca piana ukazała się na ustach konającego. Jeszcze chwila i kapral Pec stanął "przed obliczem Pana."

Wtedy od strony okna usłyszałem szmatyczny szloch kobiety. Obejrzałem się... Przy otwartym oknie siedziała dziewczyna i płakała trzymając twarz w dłoniach. Słaby powiew norweskiego poranka poruszał jej złoto-płowe włosy. Ścisnęło mi w gardle... Obca dziewczyna żegnała polskiego żołnierza na obcej ziemi...

Po chwili nieznaną wstała, poważna, surowa, ze zmarszczonymi brwiami i ocierając lzy dała mi znak, że trzeba zmarłego obrócić twarzą do góry. Gdyśmy to razem czynili, na twarz kaprala z oczu dziewczyny spadła kilka dużych łez. Potem ukłękła przed lożem zmarłego, dała mi znak, abym uczynił to samo i zaczęła półgłosem odmawiać: "Ojcze Nasz."

Kapral zaś leżał z twarzą spokojną, na której już nie było śladów cierpienia i nieomal dumna. Na czole i policzkach lśniły jeszcze krople śmiertelnego potu i lzy norweskiej dziewczyny.

Tak Kapral Pec mógł być dumny. To on zdobył z powrotem wzgórze oznaczone na mapach norweskich cyfrą 295.

Gdy wychodziłem z Emmenes, dopędził mnie tabor batalionu, który wiozł samochodami upragnioną żywność. Kucharze zabrali mnie na samochód. Niedługo jednak



czające wiadomości o nieprzyjacielu i jego ugrupowaniu. Dojechałem się także gdzieś mniej więcej jest lewe skrzydło II Batalionu. Pozwoliło mi to powziąć decyzję natychmiastowego natarcia na wzgórze 295, jedną kompanią z plutonem ckm i plutonem moździerzy.

Natarcie to, jak wiadomo, udało się i wzgórze, o które toczyły się zmagania w ciągu kilkunastu dni pozostało ostatecznie w rękach żołnierzy IV batalionu. Nie w tym jednak rzecz; jest to dzieło jedynie przypadku. Chciałbym w tym miejscu poruszyć zupełnie co innego. Otóż stwierdzam z całą stanowczością, że powodzenie natarcia należy przypisać w równej mierze tak oficerom jak podoficerom i podchorążym, oraz rzecz najważniejsza: strzelcom czy to przybyłym z Polski po Wrześniu, czy to emigrantom z Francji. Wszyscy wykazali jednako odwagę i jednakowe poświęcenie.

Nie mniej przykład ofiarnej pracy tym razem dał podoficer. Był nim kapral Pec, który w czasie samego natarcia na wzgórze 295 zginął śmiercią bohatera. Śmierć jego i okoliczności w jakich zginął ten bohaterki podoficer, nakazują każdemu żołnierzowi schylić głowę przed jego mogiłą i oddać honory wojskowe.

Gdy nasi zaczęli wdzierać się na wzgórze, Niemcy chcąc za wszelką cenę utrzymać ten ważny dla nich punkt terenowy, otworzyli morderezy ogień z cekaemów i pistoletów automatycznych, wspierając ponadto oddziały broniący wzgórze ogniem moździerzy. Nieprzyjaciel literalnie siekił i kosił pociskami po krzakach i brzoźkach.

Wtedy to kapral Pec nie zważając na prawie niechybną śmierć poderwał się, wykonał skok nieco na przód i zaczął pakować krótkie serie tam, skąd niemiecki ogień był najsilniejszy.

Mimo to oddziały nacierające

że prócz zapału i dobrej woli trzeba mieć także i pewien zasób wiedzy fachowej i doświadczenia. Śmierć zabrała go, bo jest ślepa i głucha a na wojnie kosi ludzi nie wybierając ni lepszych ani gorszych, ale równie dobrze mogła go była nie dosięgnąć. Jednak doświadczenie jednego człowieka na równi z odwagą zaważyło na losach walki. Mało tego. Doświadczenie zrodziło odwagę, odwaga zaś porwała innych.

Gdy po zdobyciu wzgórz 295, sanitariusze odnosili kaprala Peca do Emmenes, nosze były pokryte krwią. Z ust wykrzywionych w straszliwy grymas męki sączyła się także cienka ciemno czerwona smuga.

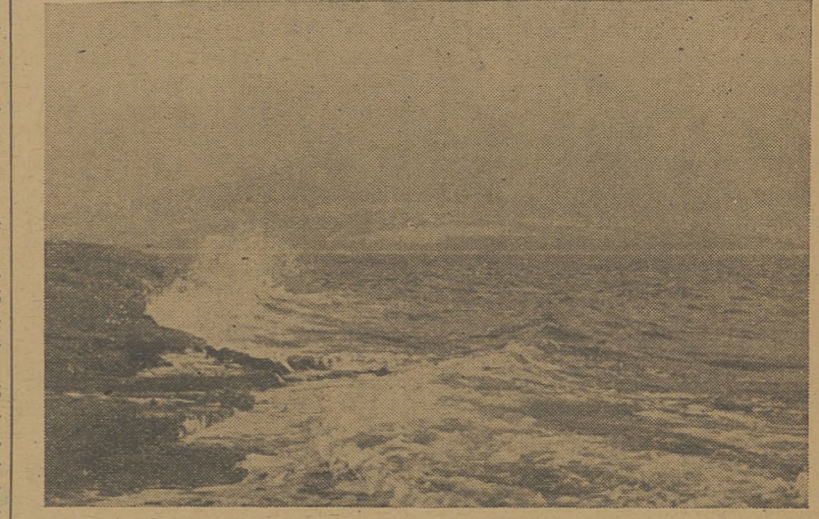
— "Która teraz może być godzina?" — spytał porucznik. Porucznik spojrzął na zegarek i powiedział: — "Pierwsza."

— "No dobrze, ale czy to pierwsza w dzień czy w nocy?"

była umieszczona w kilku domkach. Domki te jednak były już prawie puste. Anglicy ze zdumiewającą sprawnością wyewakuowali już naszych rannych. Pozostawili tylko takich, których nie warto było wywozić... Sześć czołwki, angielski lekarz o dobrym i miłym wyrazie twarzy, patrząc przenikliwie przez duże okulary, zaprowadził mnie do pokoju, gdzie leżał kapral.

Zdażyłem przyjść na czas. Kapral konał, leżąc na piersiach, z głową skreconą na bok. Płuca wydawały okropne chrapliwe rżenie, w którym jednak dosłyszałem kilkakrotnie wyrazy: "Księdza, księdza," a potem: "Idę przed oblicze Pana." W pewnej chwili kapral szeroko otworzył oczy i patrząc na mnie, lecz nie poznając powtórzył znowu: "Księdza."

Było to już ostatnie słowo tego polskiego żołnierza... Potem nastąpiła agonja. Charczenie staowało się co raz słabsze. Wkrótce



jechałmy. Na tym samym miejscu, gdzie wczoraj rozwineliśmy się do natarcia, trzeba było wyładować żywność i znowu rozpocząć wspinaczkę, tym razem nie pod ogniem przeciwnika, lecz zato z dużym ciężarem w postaci kotłów, puszek i masy bochenków chleba. Oddziały przysłały z góry strzelców do pomocy, jednak dwa śniadania, obiad i kolacja na trzy setki ludzi były pokazywym ciężarem. Żołnierze kleli soczyscie i wspominali matki Niemców.

A jednak mimo wszystko apro wizacja u nas stała o wiele lepiej, niż u nieprzyjaciela; dowodem tego może być pamiętnik, który znalazłono przy zabitym Niemcu. Niemiec pisał: "sześć dni jestem na placówce, sześć dni jestem na przeciw tych oszałamiałych ze wściekłości angielskich najemników, od których wieje tylko nienawiść... Od sześciu dni otrzymujemy tylko chleb... Woda jest na miejscu..." U nas w najgorszej sytuacji tego nie było.

Wdrapaliśmy się wreszcie. Dwa śniadania, obiad i kolacja znikły w ciągu kwadransa a potem jeszcze silniejsze chrapanie zaczęło napępniać świeże, niby poranne powietrze.

Położyłem się do płytkiej jamy wysłanej mchem, którą wykopali mi żołnierze, aby do chwili rozpoczęcia dalszych działań przespać się nieco. Postanowiłem bowiem prowadzić dalsze natarcie z chwilą nadejścia uzupełnienia amunicji. Sen dowódcy różni się jednak od snu strzelca. Gdy strzelec śpi, nikt mu zazwyczaj snu nie przewrywa. Dowódcę budzą co chwila telefony, a gdy ich nie ma—gonicy, łącznicy lub starsi dowódcy.

Ten sam los musiał oczywiście i mnie spotkać. W pewnej chwili poczułem, że ktoś mnie szarpie. Nie chciałem i nie mogłem obudzić się, lecz wstrząsy stawały się co raz silniejsze i wreszcie doprowadziły mnie do przytomności. Ujrzałem przed sobą dwóch majorów. Byli to: zastępca szefa II oddziału sztabu major I. oraz szef II oddziału sztabu major N.

jechaliśmy. Na tym samym miejscu, gdzie wczoraj rozwineliśmy się do natarcia, trzeba było wyładować żywność i znowu rozpocząć wspinaczkę, tym razem nie pod ogniem przeciwnika, lecz zato z dużym ciężarem w postaci kotłów, puszek i masy bochenków chleba. Oddziały przysłały z góry strzelców do pomocy, jednak dwa śniadania, obiad i kolacja na trzy setki ludzi były pokazywym ciężarem. Żołnierze kleli soczyscie i wspominali matki Niemców.

A jednak mimo wszystko apro wizacja u nas stała o wiele lepiej, niż u nieprzyjaciela; dowodem tego może być pamiętnik, który znalazłono przy zabitym Niemcu. Niemiec pisał: "sześć dni jestem na placówce, sześć dni jestem na przeciw tych oszałamiałych ze wściekłości angielskich najemników, od których wieje tylko nienawiść... Od sześciu dni otrzymujemy tylko chleb... Woda jest na miejscu..." U nas w najgorszej sytuacji tego nie było.

Wdrapaliśmy się wreszcie. Dwa śniadania, obiad i kolacja znikły w ciągu kwadransa a potem jeszcze silniejsze chrapanie zaczęło napępniać świeże, niby poranne powietrze.

Położyłem się do płytkiej jamy wysłanej mchem, którą wykopali mi żołnierze, aby do chwili rozpoczęcia dalszych działań przespać się nieco. Postanowiłem bowiem prowadzić dalsze natarcie z chwilą nadejścia uzupełnienia amunicji. Sen dowódcy różni się jednak od snu strzelca. Gdy strzelec śpi, nikt mu zazwyczaj snu nie przewrywa. Dowódcę budzą co chwila telefony, a gdy ich nie ma—gonicy, łącznicy lub starsi dowódcy.

Ten sam los musiał oczywiście i mnie spotkać. W pewnej chwili poczułem, że ktoś mnie szarpie. Nie chciałem i nie mogłem obudzić się, lecz wstrząsy stawały się co raz silniejsze i wreszcie doprowadziły mnie do przytomności. Ujrzałem przed sobą dwóch majorów. Byli to: zastępca szefa II oddziału sztabu major I. oraz szef II oddziału sztabu major N.

## Pomoc dla Polaków w Rosji: £1,347

**LOTNICTWO POLSKIE W ANGLII I W SZKOCJI**  
**RODAKOM W ROSJI, ROK 1942**  
Redakcja "Polski Walczącej," Przesyłając Money Order na kwotę £12.10.5, proszę o przekazanie powyższej kwoty do P.C.K. jako pomoc dla Polaków w Rosji, zebra- ną wśród żołnierzy Polskiej Szkoły Pilotażu w Newton.  
Komendant Polskiej Szkoły Pilotażu.  
Szanowny Panie Redaktorze, Od uczni po sześćdziesięciu skokach, od kadry instruktorskiej i pilotów przesyłam kwotę 34 /trzydzieści cztery/ szylingów na pomoc dla Polaków w Rosji.  
por. pil. Julian G., komendant Polskiego Kursu Spadochronowego  
Redakcja "Polski Walczącej," Przesyłamy £10 na Polaków w Rosji od pracowników Polskiej YMCA w Szkocji za miesiąc kwiecień 1942 r.  
Dyrekcja Polskiej YMCA w W. Brytanii

£5 przesyłam na pomoc Rodakom w Rosji, składając tą drogą podzię- kowanie p.kpt. wojsk łączn. T.L. za pomoc materialną udzieloną po wspólnej ucieczce z niewoli.  
ppor. F.J.  
Przesyłam £3.12.2 zebrane wśród uczniów Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Dunalastair House, na fundusz pomocy Polakom w Rosji.  
Przesyłam £3 na "Pomoc dla Polaków w Rosji" zamiast podarunku imieninowego dla czteroletniego synka Marcuszka, przybywającego w Kraju.  
mjr. S.S.  
Kwotę 3sh. 9d. przesyłam na pomoc dla Polaków w Rosji.  
K. Mroziuk  
Nadto przekazano na ten cel: p. L.B. £1.10 nieprzyjęte honorarium za artykuł w "Polsce Walczącej," p. Jan Olgierd Bożenko honorarium otrzymane od tygodnika "Co słychać" 2sh. 6d.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £37.12.10 1/2 słownie: trzydzieści siedem funtów, dwa i pół szylingów, dziesięć i pół pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.  
Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną do- tychczas za pośred- nictwem "Polski Walczącej" do £1,347.10.10 1/2 słownie: tysiąc trzydzieści czter- dzieści siedem funtów, dziesięć i pół pensa/.

Żołnierze wojsk lądowych, lotnic- twa i marynarki w Wielkiej Bry- tanii zrezygnowali z 295.000 szt. pa- pierosów, przyznanych im na święta Wielkanocne przez Naczelnego Wod- za na rzecz koleków, znajdujących się w Sowieciach.  
Wódz Naczelny polecił uzupełnić tę ilość do wysokości 700.000 szt. i przesłać do Sowieców, jako dar Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii dla żołnierzy polskich w Sowieciach.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £37.12.10 1/2 słownie: trzydzieści siedem funtów, dwa i pół szylingów, dziesięć i pół pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.  
Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną do- tychczas za pośred- nictwem "Polski Walczącej" do £1,347.10.10 1/2 słownie: tysiąc trzydzieści czter- dzieści siedem funtów, dziesięć i pół pensa/.

Żołnierze wojsk lądowych, lotnic- twa i marynarki w Wielkiej Bry- tanii zrezygnowali z 295.000 szt. pa- pierosów, przyznanych im na święta Wielkanocne przez Naczelnego Wod- za na rzecz koleków, znajdujących się w Sowieciach.  
Wódz Naczelny polecił uzupełnić tę ilość do wysokości 700.000 szt. i przesłać do Sowieców, jako dar Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii dla żołnierzy polskich w Sowieciach.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £37.12.10 1/2 słownie: trzydzieści siedem funtów, dwa i pół szylingów, dziesięć i pół pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.  
Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną do- tychczas za pośred- nictwem "Polski Walczącej" do £1,347.10.10 1/2 słownie: tysiąc trzydzieści czter- dzieści siedem funtów, dziesięć i pół pensa/.

Żołnierze wojsk lądowych, lotnic- twa i marynarki w Wielkiej Bry- tanii zrezygnowali z 295.000 szt. pa- pierosów, przyznanych im na święta Wielkanocne przez Naczelnego Wod- za na rzecz koleków, znajdujących się w Sowieciach.  
Wódz Naczelny polecił uzupełnić tę ilość do wysokości 700.000 szt. i przesłać do Sowieców, jako dar Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii dla żołnierzy polskich w Sowieciach.

\* Por. nr. 14-15, 16 i 17, "Polski Walczącej," z b.r.

ARNOLD JASKOWSKI

WOJSKO POLSKIE NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

Generał Sikorski podał do wiadomości, w czasie swojego przemówienia na Radzie Narodowej w Londynie, że po raz pierwszy od czasu powstania oddziałów polskich na obczyźnie, przekroczyły one cyfrę 100.000.

Taka siła zbrojna już się liczy w wojnie. Taka siła zbrojna już odegrać może rolę i to nie tylko pomocniczą w działaniach wojennych.

"Times" w depeszy swojego sprawozdawcy z Kairu podkreśla, że pierwsza partia Polaków przybyła już na front w walce i że otrzyma sprzęt i ekwipunek.

"Times" zapowiada przybycie dalszych oddziałów i lojalnie stwierdza, że wojsko polskie na Środkowym Wschodzie będzie "a

Szkic sytuacyjny

formidable army," potężna siła. Istotnie, odpowiednio wypoczęte, na nowo przeszkolone i przebrojone wojsko polskie odegra na Bliskim Wschodzie rolę doniosłą.

OFENSYWA LOTNICZA NA RZESZĘ

RAF przeszedł do działania i wyprawia się noc w noc, oraz dzień w dzień nad Rzeszę. Nie zaniedbuje również Francji okupowanej, gdzie uderza w bazy morskie /Brest, St. Nazaire/, jak i baz Holandii /Vlissingen/.

Ofensywa RAF'u dotknęła w pierwszej mierze bazy lotnicze: Lubekę oraz Rostock. Ataki angielskie prowadzone były przy pomocy najcięższych bombowców, przede wszystkim zaś czterosilnikowych Lancaster, które wypróbowały swojej siły w czasie ataku na Augsburg /za dnia/.

Bombardowanie brytyjskie skierowane jest zarówno na zakłady lotnicze /pod Rostockiem są zakłady Heinkla/, jak i na bazy morskie, które posiadają stocznie dla budowy okrętów podwodnych.

Uderzenie niemieckie w Rosji nie wyjaśni się jeszcze. Wprawdzie wojska sowieckie mówią, że ożywna działalność niemieckich aparatów dla lotów nurkowych

atlantyki; ataki na stocznie okrętów podwodnych są zawsze ważne dla Anglików i te właśnie ataki były najbardziej energicznie podtrzymywane w przeszłości.

Anglicy przeszli dzisiaj na bombardowanie za dnia systemem dokładnym i precyzyjnym, przy czym za dnia uderzają w obiekty dobrze oznaczone i wiadomo /Augsburg/, podczas gdy w nocy atakują krótko ale ostro, całe miasta, korzystając z tego, że bombowce ich zabierają olbrzymimi ładunkami bomb.

Ofensywa RAF'u musi być utrzymana. To jest zadanie każdej skutecznej ofensywy. Utrzymanie Rzeszy przez kilka miesięcy pod groźbą lupania z powietrza to zadanie, które warto wykonać.

Jest rzeczą znamienną, że rzecznik kół wojskowych Rzeszy w przemówieniu przez radio tomaczył ludności niemieckiej, że "RAF dąży do złamania moralności społeczeństwa niemieckiego."

OFENSYWA LADOWA SIĘ OPOŹNIA

Uderzenie niemieckie w Rosji nie wyjaśni się jeszcze. Wprawdzie wojska sowieckie mówią, że ożywna działalność niemieckich aparatów dla lotów nurkowych

/t.zw. Stukas/ dowodzi, że armia niemiecka przystąpi niebawem do uderzenia, ale na razie nie widać jeszcze poważniejszych oznak, ażeby istotnie tak było.

W warunkach, kiedy na Zachodzie Francja jest poruszona, kiedy w Norwegii też nie jest za spokojnie, kiedy w Belgii rozstrzeluje się członków organizacji wojskowej zwanej Białym Legionem, kiedy w Holandii opór trwa—tyły nie są zabezpieczone.

NA ZACHODZIE NIESPOKOJNIE

Akcje prowadzone przez t.zw. Commandos są pouczające dla sojuszników, niepokojące dla Niemców. Nie tylko dlatego, że zmuszają ich do podwojenia czujności na zbyt długiej linii brzoju, którego żadna armia świata nie potrafiła skutecznie utrzymać, ale i dlatego, że dowodzą one, iż ludność miejscowa sprzyja Anglikom i pomaga im w wypadach.

We Francji zjawiała się podobno dywizja niemieckich spadochroniarzy, inna przeszła do Norwegii. Koncentracje niemieckie zarówno we Francji, jak w Norwegii są poważne. Okolice Sambrzy i Mozy zostały wyewakuowane z ludnością miejscową, przyczem Niemcy założyli spore pola minowe.

Alle czy całe to pogotowie jest tylko przygotowaniem do odparcie ewentualnej inwazji sojuszniczej? Czy przypadkiem nie oznacza to, że sztab niemiecki przygotowuje się do inwazji W. Brytanii? Hitler ma do wyboru dalej—w granicach możliwości—albo uderzenie na

Wschód, przy utrzymaniu defensywy na Zachodzie i narażeniu swoich obywateli na potworne ciężkie lotnicze, albo akcję na Zachodzie przy utrzymaniu frontu "szywnego" na Wschodzie.

Czy dokonał już wyboru—nie wiem. Wszystkie dowodzi, że musi on iść na Rosję, ale kto wie, czy sztab niemiecki nie posiada jeszcze jakiejś niespodzianki w tej mierze. Zasadniczo pozostają te dwie możliwości—z tym, że może ich Hitler próbować kolejno, w tym roku albo przyszłym.

Ostrożność nakazuje brać pod uwagę także i tę drugą możliwość, chociaż w danej chwili wydaje się ona mocno—niemożliwa.

ROOSEVELT ZADOWOLONY

Prezydent Roosevelt oświadczył prasie waszyngtońskiej, że plany rozbudowy przemysłu wojennego i produkcji wojennej, którą nazwał "mammoth" /potwornie olbrzymią/ postępują doskonale. Uznał on, że program dobrojenia będzie wykonany: 185.000 samolotów bojowych, 120.000 czołgów i 18.000.000 ton żeluzi w latach 1942 i 1943.

Dobra to nowina, że Ameryka myśli o ataku, że przygotowuje się do niego, że wysłała co raz więcej maszyn do Anglii, że przesyła tutaj dalej swoje wojska, że woła o akcję na kontynencie.

Dowodzi to, że Ameryka zabiera się do wojny energicznie i że produkcja USA osiągnie cyfrę zastanawiającą. Nic w tym dziwnego. Ameryka jest bowiem krajem—przesady.

Londyn, dnia 27-ego kwietnia 1942

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Szkocja uparła się w tym roku. Chce koniecznie przypomnieć naszą wiosnę. Tradycyjnie kapryśny szkocki kwiecień zmienił się w jeden z najpiękniejszych, najbardziej stonowanych miesięcy. Stonce idzie spać dopiero razem z nami.

W tych stonowanych dniach na wyspie brytyjskiej padło słowo: ofensywa, luzując nareszcie zbyt mocno utrwaloną w umysłach tułtejszych defensywę. Słowo to jest kartą racjonalną na stół. Trzeba grać. Partia, zdaje się, jest w okresie przedostatniego robru.

Ofensywa to nie tylko zmasowane sił fizycznych, to nie tylko materialny atak—to przede wszystkim mobilizacja duchowa. Trzeba nielada siły woli, rozsądku i opowania nerwowego, by zdobyć się na wysiłek duchowy właśnie w tym, niebezpiecznym okresie wiosennej nostalgii, gdy kwitnie zielono Anglia, gdy lilowo barwią się wzgórza Szkocji.

Spróbuj Kolego podnieść głowę w górę, ale tak, by nie patrzeć na pagórek szkocki, który budzi w Tobie wspomnienia rodzinnego krajobrazu. Nalóż okulary przeciwsoniczne i przeciwtęsknicowe, i nie poddając się przejściowym uczuciom, myśl, że w roku tym decydować się będą losy świata na długie dziesiątki lat. Myśl taka to najlepszy zastrzyk wiosennej przeciwnostalgicznej.

Po tym zabiegu pora zabrać się do wiosennych porządków i generalnego prania matych brudów. W ciągu zimy zgromadziło się w nas wiele słabostek, wiele małostek. Teraz, gdy przed ofensywą przeprowadzamy w pierwszym

rzucie mobilizację ducha, trzeba nasze pogotowie wiosenne zacząć od usunięcia takich drugorzędnych drobiazgów, które w akcji ofensywnej będą kulą u nogi. Trzeba zacząć od zlikwidowania, śmiesznych w takim czasie, sporów ideologicznych i konfliktów osobistych, od usuwania kłód, rzucanych przez ludzi szkodliwych lub głupich na wielkiej ścieżce prowadzącej do Polski.

Przepędźmy precz od siebie zawodowych plotkarzy, politykierów kawiarzianych i defetystów, którzy na dobrą sprawę powinni dostać ścisła "pakę" aż do ukończenia wojny jako członkowie wewnętrznej "V-tej Kalumii." Wielką miłką wymięty przewoźniacy i "komentatorów," którzy przy szklance piwa są mądrzejsi od Roosevelta, a po drugim "ginie" opracowują instrukcje dla Churchill. Warto sobie uprzytomnić, że każdy z nas stanowi jedno z milionowych kółek tej wielkiej maszyny, której obroty nabierają obecnie tak długo oczekiwanego tempa.

Pora wydaje się najlepsza ku temu, by powołać do służby stąle w drodze wiosennej mobilizacji ducha rozum, sumienie i charakter żołnierza. Przypomnijcie sobie te czasy, kiedy rwałście się z obozów rumuńskich, węgierskich na wolność do Francji, przypomnijcie sobie długie chwile wyczekiwania na nową broń tutaj w Wielkiej Brytanii. Jest wolność i jest broń. Jest rzucenie hasła. Czy w takim momencie nie warto rozpedzić na cztery wiatry specjalistów od zatruwania atmosfery, którzy przedzierają czy później odpadną na tym czy innym etapie naszego wielkiego i trudnego marszu powrotnego.

Nie można ukrywać prawdy. Zbyt dużo widuje się na naszym terenie młodych ludzi zachwianych nerwowo. Kolega X-skończył się—oto stereotypowe polskie powiedzonko. Co to znaczy? To znaczy, że ten "skończony" pęta się w oddziale wojskowym pomiędzy jedną "pakę" a drugą, pije,

Bez black-outu

nosi wersję, słucha radiowych komunikatów brytyjskich z drwiącym, czasem głośnym śmiechem, w nic już nie wierzy i na nic nie czeka. Albo drugi wariant tego samego tematu: taki "skończony" idzie do szpitala chorując na urojone niedomagania. W jednym i w drugim wypadku ta ofiara wojny i własnych nerwów staje się plagą otoczenia.

Zastanówcie się więc nad tym Koledzy, czy nie żołnierski to obowiązek takiego "skończonego," rannego moralnie towarzysza broni podjąć i ratować? Czy nie należy poświęcić mu trochę czasu, nazwać rozmowy o rodzinie, o Kraju, upewnić go, że jest ceną jednostką dla przyszłości, powiedzieć mu, że wojsko to nie tylko zmorza pobudek, zbiorów i odpraw, ale siła, zdobywająca wolność. Porozmawiaj z nim Kolego, może uratujesz jedną duszę, a to w okresie przygotowań do ofensywy wielka zdobycz.

W chwili mobilizacji ducha otwiera się szerokie pole dla broni, która nosi brzydki, zohydzony nazwę—dla polskiej "propagandy wojskowej." Broń ta, którą wołał bym nazwać niezatwierdzoną urzędowo nazwą: "wychowawcza i walki duchowej z wrogiem"—ciągle bywa jeszcze niedoceniana. Dziwna rzecz, że właśnie Polacy, którzy najwięcej ucierpieli od obstrzału wrogiej propagandy, dobrze czasem przemyślanej i zorganizowanej, nie doceniają możliwości, zasięgu i skuteczności tej broni. Nowoczesne poglądy stawiają propagandę obok produkcji jako czynnik niezbędny dla wygrania wojny.

Tymczasem . . . tymczasem: trafiają się wśród naszych typy dowódców na różnych stopniach, którzy nie wychodzą z szablону 1914-1918, współpracując ciągle ze słynnym "generałem Schimmlem," twierdzą, że "propaganda wojny nie wygramy." Propaganda w historii tej wojny może poszczyć zwyciężać w wieloletnich bitwach. Nasza na razie toczy bitwy . . . z Polakami, łamiąc przeszłość na froncie wewnętrznym, mnożone

bez liku. Najwyższy czas usunąć szablony, wyposażać tę broń tak, by w chwili ofensywy mogła uderzyć całym aparatem środków tam, gdzie okaże się potrzeba. Propaganda wojskowa, a więc wychowanie narodowe i walka duchowa z wrogiem spotykają się jeszcze ciągle z upartym, nierozważnym uśmiechem "militarystów" spod starej daty.

Dla pracowników oświaty i propagandy wojskowej nie będzie nowością taki groteskowy schemacik starań o przydział nowego człowieka do pracy propagandowej: w oddziale Y. jest strzelec Pietruszka, który jest specjalistą fotografem, mechanikiem radiowym lub prasowcem, jak wolicie. Nieznany nikomu Pietruszka ma kategorię "F," i lat 45. W powołanym wyżej oddziale Y. obiera ziemniaki na stanowisku I-go zastępcy kucharza kompanijnego, leży pod samochodem lub siedzi "odpowiedzialnie" przy telefonie. Propaganda wojskowa daje wniosek o przydzielenie go do obsługi: prasowej, radiowej, filmowej—jak wolicie. Od tej pory zaczyna się Pietruszkowy szal. Nie nie znaczący do tej pory strzelec urasta wskutek jednego pisma do rangi najważniejszej osoby w oddziale. Ciągają go po raportach i odprawach:

"Cóż to, Pietruszka, chcesz podobno do artystycznej roboty?"

Wmawiają w biedaka, że ponad kartofle i telefon nie masz piękniejszej broni, że poci mu włożyć między "artystów", czy "redaktorów", że zawsze "w linii" awans pewniejszy. Zdetonowany Pietruszka w drugim dniu takich zabiegów, zaczyna się wahać. Równocześnie oddział rozwija wszystkie linie ataku, żeby zatrzymać swojego "człowieka," który widocznie jest "aż" tak sławny, że "aż" "Londyn" się o niego dobię. Kończy się zwykłe na tym, że wniosek propagandy wraca "zatwierdzony negatywnie," a strzelec Pietruszka, należycie "obsztorcowany" przez wszystkie instancje podoficerskie i oficcerskie, pozostaje z przydomkiem "artysta" w oddziale, nie zmieniając swej pozycji moralnej i tej . . . pod sa-

mochodem, w kuchni i przy telefonie.

Tak, tak, robimy dużo głupich rzeczy czasem przez upór, czasem przez faszystwą ambicję, a czasem da tradycyjnego sportu: wzajemnego robienna sobie na złość. A szkoda. Bo gdyby ta niedolna broń naszej propagandy wojskowej rozporządziła całkowicie, rozumną pomocą na wszystkich szczeblach, można by wygrać nie jedną potyczkę o ratowanie "skończonych dusz" w okresie przedofensywnym, a napewno wiele bitew na froncie zewnętrznym w chwili decydującej. Broń ta po skutecznym zwalczeniu przeszkód wewnętrznych powinna w najbliższym czasie stać się zaczepną wobec wroga.

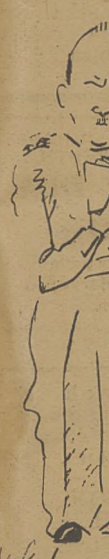
Propaganda wojskowa do tej pory nie ujawniała swoich kłopotów. Pisze nie bez pewnej obawy, że w poczuciu wrodzonej dyskrekcji nie zechce i tym razem wydrukować tych "bezbalkawych" spostrzeżeń. Nie mniej przeto uważam, że dla dobra sprawy, powinno się właśnie w chwili obecnej ujawnić te kłopoty, właśnie teraz, gdy zespół propagandowy winny sposobie się do działań rozstrzygających.

Aktualny więc będzie apel do wszystkich, zainteresowanych mobilizacją ducha w tym okresie wiosennych tęskni i zmagani: jeżeli już nie możecie intensywnie pomóc tej nowoczesnej potężnej broni, to przynajmniej nie przeszkadzajcie sprawom jej w terenie, w chwili, gdy aparat ten równie starannie szuka środki do walki—jak wy dziala i czołgi "somewhere in Scotland."

Po oficjalnym apelu mała prośba koleżeńka: nie witajcie żołnierzy tej niewdzięcznej, niedocenionej broni propagandowej uśmiechem politowania, że niby . . . wy "liniowcy" a oni . . . "tyły." Dziwna ta wojna pochłonięła do tej pory tysiące ofiar po stronie Aliantów i Osi spośród korespondentów wojennych, sprawozdawców radiowych, członków kompanii propagandowych, teatralnych i operatorów filmowych. "Tyły" w tej dziennej wojnie bywają czasem na przodzie. Grunt, żeby głowa była na swoim miejscu, a nie . . . w tyle.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Nazwalisi plutonem, wiem bylo dnicza cech jugoslawian lazilo sie w swietlicz gjanay rozl jugoslawian Baon Po przycagnal odwzajemn cniejszymi Wkrótce pokres przed sie, jakby miętych c Uczucia darzy spo splynelo ró brze bylo n Chce opis które ponos ska opiesz wany pluc Bożego N obrzdku te przypa i 7 styczni pełny jest wniczych ol Do najc należało nie szukanie wigilijnym, trzonego, nego, który Punktualnie nie, w dniu nierzy jugn rymns brała się ejsza za Baonu Sz lasu oczeki żołnierze z czele. Po wspo Polacy i Ju razem na r ka." "Badi przybraniei rowany zos który wic W drodze zakwaterow slowiańskie Baonu Podl lom na wivi Tymczas nierzy ju stala na mi wania do u brano swie odbyć się v ano sło zgodni przęc cały dzięcu rozp Na nim wle



—Bomba natychmiast Pułku wrzajac na sale Bombard pomyślelam mnie? Ze przebiegac nie "nie p nie bylem, bawie, wie nie pisze, z umieniem —Tylko! wal pełną groźny służ Poszedler patrzył na tak nie pat —A, to —Tak, t strzu. —Nigdy spodziewale nie uczw opinie porz takie szyd —Melduj

## Z życia obozów

## "Rozśpiewany pluton"—jugosłowiański

Nazwaliśmy ich rozśpiewanym plutonem, umuzykalnienie bowiem było ich najbardziej zasadniczą cechą. Tacy już byli ci Jugosłowianie: gdziekolwiek znalazło się choć paru z nich: w świetlicy, czy kancjynie—zaraz ściany rozbrzmiewały pięknymi jugosłowiańskimi pieśniami.

Baon Podhalański I Brygady przygarnął ich jak braci, a oni odwzajemnili mu się najserdeczniejszymi uczuciami przyjaźni. Wkrótce po przybyciu do nas na okres przeszkolenia zamówili się, jakby byli tutaj od niepamiętnych czasów.

Uczucia sympatii, jakimi nas darzy społeczeństwo szkockie spłynęły również i na nich. Dobrze było nam z nimi i im z nami. Chcę opisać—z opóźnieniem, za które ponosi winę moja kronikarska opieszałość—jak "rozśpiewany pluton" obchodził święta Bożego Narodzenia. Według obrządku wschodniego święta te przypadają na dzień 6 i 7 stycznia. Cały obchód świąt pełny jest u Jugosłowian malowniczych obrzędów.

Do najciekawszych z nich należało niewątpliwie tradycyjne szukanie "badniaka" w dniu wigilijnym, t.j. specjalnie upatrzonego, suchego pnia drzewnego, który się wycina w lesie. Punktualnie o godz. 12 w południe, w dniu wigilijnym, grupa żołnierzy jugosłowiańskich w pełnym rynsztunku bojowym wybrała się do lasu w pobliżu miejsca zakwaterowania t. zw. "Baonu Szkockiego." U skraj lasu oczekiwali już na nich nasi żołnierze z dowódcą baonu na czele.

Po wspólnej "lampce wina" Polacy i Jugosłowianie udali się razem na poszukiwanie "badniaka." "Badniak" został ozdobiony przybraniem choinkowym, udekorowany został również samochód, który wioził całą ekspedycję. W drodze powrotnej do miejsca zakwaterowania plutonu jugosłowiańskiego, jednej z kompanii Baonu Podhalań, śpiewom i strzałom na wiat nie było końca.

Tymczasem druga grupa żołnierzy jugosłowiańskich, pozostała na miejscu, czyniła przygotowania do wigilii. Pięknie przybrano świetlicę, w której miała odbyć się wieczera, podłogę zaś ano słomą; musiała ona pozostać zgodnie z tradycją, nieknięta przez cały czas świąt. Na dziedzińcu rozpalono wielkie ognisko. Na nim właśnie został uroczystie



Baran z rożna "po jugosłowiańsku"

"Badniak" bożonarodzeniowy



fot. Prytyś

spalony przywieziony "badniak." Spaleniu towarzyszył obrzęd rzucenia ziaren zboża na cztery strony świata: "aby dobrze rozdziło."

Przy płonącym ognisku odbywały się tańce, odmawiano modlitwy i śpiewano melodyjne kolędy jugosłowiańskie. Cały obrzęd wigilijny przypominał raczej jakieś starodawne święto słowiańskie, niż wigilię w naszym pojęciu. Było tu coś, co przypominało prasłowiańskie obrzędy.

Wigilijne potrawy jugosłowiańskie przypominają polską kuchnię tradycyjną w tym dniu. Np.

muszą być nieodzownie w menu kluski z makiem. Dzień Bożego Narodzenia upłynął u Jugosłowian bardzo uroczystie. Na uroczysty obiad, którego głównym daniem był baran pieczony na rożnie przy ognisku, przybył Dowódca Brygady.

Najstarszy stopniem oficer jugosłowiański witając Generała, wygłosił wzruszające przemówienie. Mówił o tym jak skromny wkład do kapitału przyjaźni obu narodów włożyli Jugosłowianie podczas pobytu polskich uchodźców w ich kraju i jak odsetki od tego kapitału przerosły obec-

nie wielokrotnie sam wkład, a przecież odruchy serdeczne wobec Polaków były powodowane przez żew krwi tylko. Dowódca Brygady porównał w swym przemówieniu bohaterstwo Serbii w 1914 roku i Polski w 1939. Oba te kraje musiały pierwsze wystawić czoła najazdowi teutońskiemu.

Wśród miłego nastroju, wśród śpiewu kolęd i tańców zeszli wspólny obiad świąteczny. Od tego czasu Jugosłowianie stali się jakby częścią naszej "rodzinnej wspólnoty" brygadowej. Wydawało się, że się chyba z nimi

nie rozstaniemy, byli nieodzownym rekwizytem naszego życia żołnierskiego. Nadszedł jednak dzień żegnania. Jugosłowianie mieli odejść do lotnictwa i marynarki po parumiesięcznym przeszkoleniu w polskich szeregach.

Na placu alarmowym baonu Podhalańskiego wyciągnęły się długie szeregi żołnierzy, wśród których widać było "rozśpiewany pluton." Specjalny wysłannik króla Jugosławii, min. Kuhar dekorował kilku oficerów polskich orderami jugosłowiańskimi. Przedstawiciel armii jugosłowiańskiej odczytał przy tej okazji specjalny rozkaz króla do swoich żołnierzy. Dziękując za odznaczenia dowódca brygady zapewnił Jugosłowian, że pamięć o nich będzie na zawsze zachowana wśród żołnierzy 1. Brygady Strzelców, zadzierzgnięte zostały bowiem więzy przyjaźni między obu narodami, które przemieniły się w "w federacje uczuć."

Uroczysty, ostatni wspólny obiad żołnierski zakończył oficjalną część uroczystości. Przemawiał na nim w imieniu Naczelnego Wodza, Dowódca Korpusu. Generał przypomniał, że w walkach wolnościowych Jugosławii brała udział grupa polskich oficerów, emigrantów. Dzisiejszy pobyt Jugosłowian—to jakby rewizyta za tamte dawne czasy.

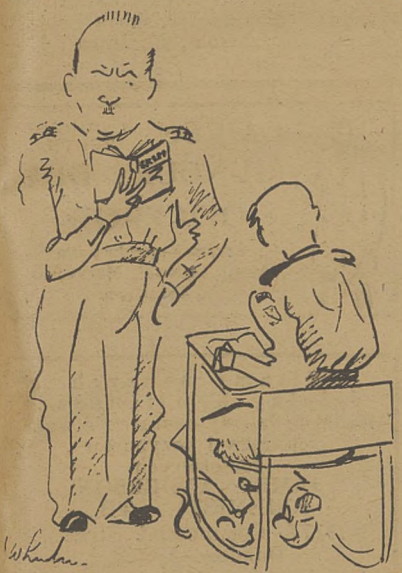
Nieoficjalna część uroczystości zaczęła się dopiero później, gdy żołnierze jugosłowiańscy żegnali się już "w pojedynkę" ze swoimi przyjaciółmi. Wylano raczej więcej "wody ognistej," niżli lez czułości przy tej okazji, jako że "rozśpiewany pluton" słynny był również z poczucia humoru.

Mieszkańcy małego "garnizonowego" miasteczka Szkocji pamiętają ten dziwny, maskaradowy jakby pochód podczas karnawału. Pochód, kroczący ulicami miasteczka otwierali żołnierze jugosłowiański, niosący z powagą transparent, na którym widniał napis: "Poszukujemy dziewczyny szkockiej, która nie zna polskiego żołnierza."

Kiedy umilkły ostatnie dźwięki hymnu jugosłowiańskiego, grane go przez naszą brygadową orkiestrę, a pociąg londyński zniknął zaczął szybko w wieczornych mrokach, uwożąc "rozśpiewany pluton"—zdaliśmy sobie jasno sprawę, że to była przyjaźń prawdziwa.

JAN LACHOWICZ

## Gimnazjum wojskowe



Bombardier L. zamelduje się natychmiast w Dowództwie Pułku wrzasnął służbowy, wpadając na sale.

Bombardier L., to niby ja—pomyślałem. Ale co oni chcą ode mnie? Zaczęłem w pamięci przebiegać ostatnie dni. Jakoś nie "nie podpadało." W P... nie byłem, w politykę się nie bawię, wierszy do żadnych pism nie piszę, z żandarmerią nieporozumień nie miałem.

Tylko się pospieszyć—przerwał pełną niepokoju zadumę, groźny służbowy.

Poszedłem. Szef kancelarii popatrzył na mnie ciekawie. Nigdy tak nie patrzył.

A, to wy?

Tak, to ja, panie ogniomistrzu.

Nigdy się tego po was nie spodziewałem. Wyglądacie zupełnie uczciwie. Mielście nawet opinię porządnego żołnierza. A tu takie sztyko w worku wylazło.

Melduję, że o niczym nie

wiem. O co chodzi, panie szefie? —O co chodzi, serdenko? Do gimnazjum jedziesz! — huknął pan szef.

I tak się stało. Pojechałem. Szkoci patrzyli z przerażeniem na polskiego wojska upadającego pod ciężarem tobołów, szalejącego na stacjach w pogoni za pociągami.

Wreszcie po trzech dniach podróży dobiełem do brzegu t.j. gimnazjum. Ostatni etap drogi przebyłem autobusem pocztowym. Było to coś w rodzaju dyliżansu. Takie same miał manery, jak poezje dyliżansy z "Klubu Pickwicka" i co dwa kilometry zatrzymywał się, by pobrać pocztę. Pasażerowie bardzo się niecierpliwi. Wprawdzie tylko ja ich reprezentowałem, ale i taka znikoma liczba pasażerów podobno rzadko tu jest notowana.

Droga była piękna. Sam "Highland." Wokoło góry, lasy, jeziora, wąwozy i... prześliczny, prawdziwy śnieg. Co prawda oglądanie krajobrazu mocno było utrudnione, bo mój "driver" przewalił mnie worami z poczta.

"Will be warmer." —powiedział i miał rację.

Wreszcie przyjechałem. Szkoła, zupełnie nie szkoda. Piękny zameczek w starym parku, wśród gór i jezior. Zameldowałem się w kancelarii. Właściwie to się nie zameldowałem, bo jak gimnazjum, to nie wojsko—pomyślałem i pomyliłem się zaraz na samym wstępie, bo okazało się, że właśnie wojsko.

Dyrektor—porucznik.

Blado jest—myśle sobie. A kiedy dyrektor porucznik powiadomił młodego kandydata na inteligenta, że tu, sycniu internat, przepustka raz na miesiąc, osiem godzin nieusprawiedliwionych i jazda

do mamy-baterii z powrotem—mina zrzedła mi zupełnie. Zwiąszcza, że (jak się okazało) miał rację bo czasu mało, a roboty huk!

I tak łacina zastąpiła armatę, algebra karabin i pan bombardier stał się znów skromnym "sztubakiem."

Jest tu nas około stu. Przeważnie "zieleni," trochę niebieskich mundurów lotników i paru ostatnich Mohikanów-cywil. Program dnia prawie jak w koszarach. Pobudka, apel, śniadanie, lekcje do pół do drugiej, obiad, nauka własna, kolacja, apel, czas wolny do jedenastej, gaszenie świateł.

Najmilsze lekcje to łacina. "Satyr" szaleje, bohaterowie z pod Narwiku kulą się w ławkach. Gerundium ani rusz nie chce się zamienić na gerundium, participia zagubiły się w wędrowkach przez zielone granice, conunctivus zginął w wodach mórz. A "satyr" obala i przeinacza święte słowa pana szefa i twierdzi, że tu nie wojsko, trzeba myśleć.

Mija przecież i łacina. Jest teraz higiena. Doktor, zrzęda i samotnik o złotym sercu, wbiła się w ławkę, oplata ją nogami i wprawia w nas, że—ból, jako taki, nie jest choroba sam w sobie. Jak boli, to dobrze, świetnie. Lekarz się cieszy, gdy boli, bo to znaczy, że organizm się broni.

Kto da przykład bólu bez jednoczesnego patologicznego stanu organizmu?

Ból serca, gdy wydaie ostatniego szlinga—odpowiada ostatnia ławka.

Fizyka właściwie nie jest lekcją fizyki, lecz solowym występem czarodzieja. Jak meteory pojawiają się mikrokosmosy,

makrokosmosy, energie, fale, promienie podlane sążnistym sosem błyskawicznie pisanych wzorów. . . . A wszystko oplątane, oszołomione przedziwnym tańcem kroków, przysiadów, nagiłych skoków i tajemniczych gestów rąk naszego wykładowcy.

—Poproszę pana do tablicy. Taką mały przykładzik dla rozzerwania umysłu. (po chwili) Człowieku! Pierwiastek z dwóch! Trzymajcie mnie! Upadnę (pada na ziemię i zaraz wstaje). Gdzie głowa?

—No to jasne, humanista.— i łagodnie prowadzi myśl zwątpiałego w swe siły biedaka: Aż wspólnym wysiłkiem obaj zadowoleni ze siebie, zrobili zadanie.

Polski. (Tego cenzor niech nie wykreśla. Autor sam poniesie konsekwencje tego, co czyni). Wchodzi ON—"Mrówka." Wołają pobledli, i jest cisza. . . Wiadomo, dyrektor - porucznik trzyma nas krótko.

—Jakież to cele stawia Mickiewicz emigracji? Kapucikiewicz? —Mickiewicz. . . prawda. . . stawia nam zadania. . .

—Zaraz. Nieprawda. Prawda? Nie, właśnie, że nieprawda. Sycniu. Nauceciez się wreszcie mówić czysto; bez naleciałości. Unikajcie w waszych określeniach i wypowiedzeniach się, pierwiastka subiektywizmu i starajcie się mówić nieosobowo. No dalej, sycniu—

Lekcja z "Mrówka," to loteria. Jak zgadniesz o co mu chodzi, to jakbyś los wygrał.

Kończy się wreszcie polski-loteria i zaraz jest obiad. "Perekła" biega po repety, zjada ją w ogonku do następnej repety.



Po obiedzie "school boys" wala na spacer. Jest śnieg, świeży, miękki śnieg. Rozpoczyna się ogólny "wycisk." Czasem jęknie jakaś szymba i osunie się w śnieg, zniechęcona do życia. (Albo jest wojna, albo nie ma wojny).

Okolo czwartej zamek ucisza się, milknie. Słychać tylko tu i ówdzie zapamiętałe kucie. To "kujony" wbijają w mózgownice zaśniedziałe, stare prawdy życia. Na ogół ucza się wszyscy. Marceli tylko chodzi od pokoju do pokoju i pilnuje, żeby się nikt nie przemęzał.

Tak mija dzień. Nadchodzi wieczór. Kolacja, apel, modlitwa i znowu praca do 11-ej.

Szkoła choć pozornie cicha, żyje, tętni, pracuje. Zwolnieni na czas trwania kursu wojskowi zdobywają wiedzę, by wrócić do kraju mąc podjąć się pracy, pracy ogromnej, wymagającej sił, zapahu i wiedzy.

WACŁAW LISZKOWSKI

